

Trzeci Stopień Wyobcowania

Toruńska wyprawa do Patagonii

Wojciech Wiwatowski

Dwa lata temu, gdy po udanej wyprawie na Torres del Paine żegnałem się z chilijską Patagonią, pomyślałem, że na pewno już tu nie wrócę. Zakreśliła mi się lezka w oku na myśl, że te cudowne granitowe wieże smagane wiatrem znad Antarktydy, które rozcinają swymi wierzchołkami błękit nieba, pozostaną tylko dla mnie wspomnieniem, że życzliwość i pogoda ducha Chilijczyków będzie dla mnie tylko historią. Zamykając drzwi autobusu odjeżdżającego z Parku Torres del Paine do Punta Arenas, powiedziałem do Michała i Bodzia, z którymi się tam wspinałem, że wiele jest jeszcze pięknych miejsc i gór na świecie, ale Patagonia jest jedna i niepowtarzalna.



Taaka rysa...

Fot. B. Kowalski

Nie minęły jednak dwa lata, a my znowu pojawiliśmy się na skraju Ameryki Południowej. Ktoś mi kiedyś powiedział, że częściej wspinałem się ostatnio w Patagonii, niż w Tatrach zimą i chyba miał rację.



Tym razem nasz team wspinaczkowy tworzyli : Krzykacz – Krzysztof Belczyński, zwany przez nas z racji swego zamieszkania, amerykańskim gringo, Bodzio – Bogusław Kowalski oraz Wojtas – Wojtek Wiwatowski. Celem naszej wyprawy do chilijskiej Patagonii, do Parku Torres del Paine, było wytyczenie nowej drogi na wschodniej ścianie Torre Sur. Turnia ta mimo, że na zdjęciach nie wygląda tak imponująco jak Torre Central, to jest najwyższa w całym masywie, a jej wierzchołek sięga prawie 3000 m npm. Mimo, że niski budżet wyprawowy zmusił nas do jazdy autobusem ze stolicy Chile Santiago do Punta Arenas, to cała podróż przebiegła zgodnie z planem. I tak, 12 stycznia spotykaliśmy się z Krzykaczem na dworcu autobusowym w Punta Arenas, który przyleciał nie z Polski, tylko z gringolandii. Cóż to było za zdziwienie, gdy zobaczyliśmy go z ręką na temblaku. Był to skutek ostrej hakówki, którą zakończył dwa tygodnie wcześniej, gdzieś w USA. Dla Krzykacza wszystko było nowe, a najbardziej dziwiło go, że prawie nikt nie mówi językiem największego mocarstwa świata. Ha, ha!

Z racji, że byliśmy w Patagonii już wcześniej, mamy sporo przeciwiczonych patentów, które pozwalają ujarzmić południowoamerykańską nonszalancję i bariery biurokratyczne, podobne do często spotykanych jeszcze w naszych urzędach. Dzięki znajomościom zawartym na poprzednich wyprawach, nie musimy załatwiać i czekać na pozwolenie wspinaczkowe, gdyż nasz przyjaciel – Krystian Oyarzo, mieszkający w Puerto Natales, zrobił to za nas.

Po jednodniowym pobycie w Puerto Natales, gdzie nabyliśmy jedzenie na sześciotygodniowy pobyt w górach i inne gadżety, które były nam niezbędne do big wallowej wspinaczki, udaliśmy się do perełki chilijskiej Patagonii, czyli do Parku Torres del Paine. Nic się tam nie zmieniło od ostatniej wyprawy: turnie majestatycznie sterczą nad dolinami, polodowcowe jeziorka mienią się kolorami tęczy, co rusz przebiega obok nas stado guanako, tylko my jesteśmy dwa lata starsi. Zaś Krzykacz nie może doczekać się patagońskiego wiatru, o którym zaczął marzyć, gdy opuścił

polskie nadmorskie wygwizdowo, jakim jest jego rodzinny Szczecin. Jak zwykle wzbudzamy sensację naszymi worami, których ilość i wielkość robi wrażenie na turystach spotykanych na szlaku w drodze do naszej bazy. Sześć dni na naszych garbach nosiliśmy „świnie”, bo tak nazwaliśmy nasze ogromne, niepokorne wory. I tak po morderczym transporcie, 19 stycznia rozbiliśmy w Swiss Campie naszą bazę w drodze na wierzchołek Torre Sur. Ta ostatnia naziemna placówka, wybudowana na bocznej morenie lodowca była doskonałym logistycznym posunięciem naszej wyprawy. Jednak rozbicie jej powyżej granicy lasu, spowodowało, że już po pierwszej huraganowej nocy jeden z namiotów bazowych nadawał się tylko do wyrzucenia. Cóż, Patagonia po raz pierwszy pokazała nam lwi pazur...

Torre Sur, choć znana nam z poprzednich wypraw, robi duże wrażenie. Jej kilkusetmetrowy monolit skalny, przecięty w połowie pasem kruchych okapów, w którym widać tylko jedno w miarę bezpieczne miejsce przedarcia się przez nie, stał się dla nas dużym wyzwaniem wspinaczkowym. Pomyśleliśmy wtedy, że prawdopodobnie tamte dy będzie biegła nasza droga. Na ścianie tej były tylko dwie drogi: norwesko-kanadyjska biegnąca lewym skrajem i szwajcarska, która wiedzie, gdzieś środkiem. Już na myśl o wspinie tym urwiskiem pocą nam się ręce i jak to w takich momentach bywa, nachodzą nas różne myśli. Jednak my już postanowiliśmy, że co by się nie działo, nasza droga powrotna do Polski wiedzie przez wierzchołek Torre Sur.

Pierwsze partie ściany były lekko poogie, ale ich pokonanie sprawiło nam sporo kłopotu. Duży opad śniegu zasypał ją do tego stopnia, że z planowanego łatwego rajbunku, zrobiła się niezła zimowa mikstowa zabawa. Cóż za zdziwienie nas ogarnęło, gdy w miejscu, gdzie ma bieć nasza droga, napotykałyśmy na ślady po Szwajcarach. Spity produkcji francuskiej i pocięte kawałki liny – ogólnie niezły



Już pod Skrzydłem

Fot. B. Kowalski



Najładniejszy wyciąg na drodze

Fot. B. Kowalski

śmietnik, upewniły nas, że działał tu znany szwajcarski alpinista Michel Piola. Jednak poza jednym łatwym wyciągiem, udało nam się wspiąć dziewiczym terenem. Codziennie, początkowo w złych warunkach pogodowych, udawało się wyrwać górze kilkadziesiąt metrów nietkniętego ludzka ręką terenu. Przemieszczałyśmy się do góry głównie techniką hakową, a trudności wspinaczkowe sięgały A3+. Każdorazowo po skończonym dniu rozciągaliśmy liny poręczowe i zjeżdżaliśmy na nocleg do podstawy ściany.

I tak po sześciu dniach poręczowania pożegnaliśmy się z ziemią na kilkanaście dni. Trzy „świnie” wypełnione na „maksę”. A w nich 80 l wody, 20 kg jedzenia, dwa portale i około 100 kg szpeju, to był nasz cały dobytek, który musiał nam wystarczyć na pokonanie ponad 800 metrowej wschodniej ściany Torre Sur.

Jakże inny świat zaczął nas otaczać – tylko my i góra. Pewne sprawy, które kilka dni temu wydawały się ważne, 300 m nad ziemią, w wiszących namiotach, straciły na wartości. Ten cudowny rytm wspinania, wspaniała patagońska pogoda i zaciekawione kondory fruujące nad naszymi głowami spowodowały, że zaczęliśmy żyć jakby w innym wymiarze. Czuliśmy się jak odkrywcy,

kotórzy rozdziewiczają drobne pęknięcia skały wbijając w nie haki, jednocześnie dotykając połączenie granitu nietkniętej wcześniej przez człowieka. Przez pierwsze dni wspinania Krzykacz był dla nas profesorem życia w portalu. Dla niego życie na 2 m kwadratowych, kilkaset metrów nad ziemią, to normalka, a dla mnie i Bodzia to była rzecz nowa. Sikanie do butelki po jogurcie i załatwianie grubszej sprawy do reklamówki w bujającym się portalu, dostarczało momentami dużo adrenaliny. Samo życie w kapsule było dla nas wielką przygodą, a my mieliśmy jeszcze wspinanie. Ściana momentami była tak mało urzeźbiona, że nawet nasz wyborowy hakmen, jakim jest gringo, nie mógł sobie z nią poradzić i sięgał po wiertło i młotek. Wykucie jednej małej dziurki i osadzenie w niej bathooka zajmowało nam około 20 minut. Tempo naszej wspinaczki nie było imponujące, ale to była solidna hakówka sięgająca momentami nawet stopnia A4. Pogoda, która nam towarzyszyła, niczym nie przypominała kapryśnej patagońskiej aury, znanej z poprzednich wypraw. Przepiękne błękitne niebo i wiaterek lekko smagający nasze twarze sprawiały, że bardziej przypominało to wspinaczkę po nadmorskim klifie, niż patagońską zawieruchę. Zamiast śniegu i mrozu, mieliśmy momentami wspinanie w wodospadzie, który powstawał z wytopionego lodu w kopule szczytowej. Najbardziej zdziwiony tym faktem był Krzykacz, który nie dostał jeszcze w tyłek w Patagonii, bo był to jego debiut wspinaczkowy w tej krainie. Tak dobrze było, gdy słońce świeciło nam w plecy, ale w chwili gdy chowało się za grania, szczeliny zalane wodą zamarzały, a my musieliśmy zakładać grube i ciepłe rzeczy.

Momentami tempo wspinania było tak wolne, około 30 m na dzień, że zacheliliśmy wątpić czy nasze skromne porcje żywnościowe wystarczą w drodze na szczyt. Na śniadanie kawa i müsli z mlekiem, na obiad czekolada, a na kolację liofilizat zalany gorącą wodą, i tak codziennie, spowodował, że tematem nr jeden naszych rozmów było ustalanie menu – co zjemy, gdy wrócimy do cywilizacji.

Po ośmiu dniach od rozstania się z ziemią i wdzierania kolejnych metrów ścianie dotarliśmy pod okap, który z racji kształtu nazwaliśmy „śmigłem”. Mimo, że z tego miejsca do wierzchołka mieliśmy jeszcze kawał drogi, to właśnie w tym miejscu – 600 m nad ziemią – rozwiesiliśmy nasze kapsuły. Poczuliśmy wtedy, że ściana powoli się nam poddaje i nad okapem nie będzie już tak stroma, jak dotychczas. Jednak pierwsza noc, jaką spędziliśmy w drugim wiszącym biwaku, była poważnym sprawdzianem dla nas i naszych namiotów. Huragan, który zerwał się późnym wieczorem

miał nami i portalami o skałę, jak papierowymi zabawkami na wietrze. Cały dobytek musieliśmy wciągnąć do środka namiotu i dociążyć go maksymalnie, aby razem z nim nie odlecieć do Argentyny. Całą noc, niczym na latającym dywanie, który co chwilę próbował oderwać się od ściany, walczyliśmy z patagońskim wiatrem o uratowanie naszych wiszących M 1. Po całonocnej walce o przetrwanie, w której zniszczenie, choć jednego namiotu oznaczałoby koniec wyprawy, wiatr ucichł o świcie i nasze kapsuły zawisły w bezruchu.

Wspinaczka powyżej drugiej kapsuły, tak jak przewidywaliśmy, nie była już tak ekstremalna jak niżej. Ale góra nie chciała tanio sprzedać skóry. Musieliśmy swoje odcierpieć. Bodzio po jednym z lotów tak nieszczęśliwie wylądował, że skrzył sobie nogę w kostce, a Krzykacza bark dopiero co zoperowany, żeby nadawał się do wspinania, musiał być znieczulony dużą ilością środków przeciwbólowych. Jednak te rzeczy nie mogły nas powstrzymać – żądza zdobycia Torre Sur była silniejsza.

Powoli wszystkie okoliczne szczyty zaczynają być pod nami. Wspinamy się już jedenasty dzień bez przerwy. Jeszcze kilka łatwych wyciągów w kopule szczytowej i będziemy widzieli nasz upragniony wierzchołek. Chmury są poniżej nas, a przebijające się przez nie czubki okolicznych turni przypominają wyspy na podniebnym oceanie. Jest 12 lutego, nie wiemy, która jest godzina, bo kilka dni temu Bodzio zgubił nasz jedyny zegarek, ale widzimy, że jesteśmy na wierzchołku Torre Sur. Tylko Bodzio, Krzychu i ja, bohaterowie tej opowieści, na najwyższej turni masywu Torres del Paine. W oddali widać masyw Cerro Torre i Fitz Roya, a my tu pijemy piwo szczytowe, wyniesione przeze mnie w tajemnicy przed chłopakami, i jemy czekoladę od bratanicy Bodzia. Jest tak cudowny i metafizyczny wieczór, że nie chce się wracać do naszych kapsuł na nocleg, które wiszą kilkaset metrów niżej. To, co kilka miesięcy temu było dla nas odległym marzeniem, teraz jest faktem. Po raz kolejny przechrzyliśmy patagońską aurę i obaliliśmy kolejny wspinaczkowy mit na skraj Ameryki Południowej. Trudności 1100-metrowej długości drogi, którą udało nam się wytyczyć, oceniamy na VI big wall, A4, VI+, śnieg i lód 55-60°. Nazwaliśmy ją *Trzeci stopień wyobcowania*.

Sponsorzy wyjazdu do Patagonii :

Polski Związek Alpinizmu, Klub Wysokogórski w Toruniu, Urząd Miasta Toruń, Bergson, Lhotse, Trango, Sklep Turystyczny „Baza No 1” w Toruniu, SNATCH Sp. z o.o., Polskie Zrzeszenie Inżynierów i Techników Sanitarnych, Zakład Energetyczny Toruń S.A., Piecobudowa Plock Sp. z o.o., Toruń-Pacific Sp. z o.o.

Pomocy w przygotowaniu wyprawy udzieliłi:

hurtownia FATRA, dystrybutor LANEX i KONG, Optometria Karczewski, MONTANO.

Patagonia 2004 – rejon Fitz Roy

Jakub Radziejowski

El Chalten powitało nas słońcem i wspaniałymi widokami. Podróż z Warszawy przez Mediolan i Buenos Aires przeszła niezauważenie i już w 25 godzin po wystartowaniu z Okęcia byliśmy w Patagonii. Tu siły polskiej ekipy zostały wzmocnione przez pomieszkujących w Argentynie Wawę Zakrzewskiego i Filipa Zagórskiego. Wcześniej, przez blisko miesiąc pracowali oni w Chalten jako porteadorzy (taka mieszanka portera i torreadora), a informacje przekazane przez nich nie nastrajały optymistycznie.

Dzień naszego przyjazdu – 18 stycznia – był bowiem pierwszym dniem naprawdę dobrej pogody od blisko dwóch miesięcy. To znaczy, od początku sezonu były dwa wejścia na Fitz Roya (w listopadzie Supercanaleta) i jedno na Cerro Torre – wejście trwające dwa grudniowe dni, ale poza tym wszystko kończyło się na niezbyt zaawansowanych próbach, w raczej bardzo krótkich okresach braku złej pogody... Niektórzy w tym sezonie ponoć pięć, sześć razy próbowali zdobyć Fitz Roya. Anegdoty o sfrustrowanych Niemcach rzucających w siebie czekanami wprawiały, co prawda, w dobry humor, jednakże powodowały także pewnego rodzaju niepokój. „Czy tu jest naprawdę tak źle?”

No cóż chyba tak, gdyż następnego poranka obudziliśmy się w strugach deszczu. Ponoć tak długo dnia, jak 19 stycznia, również nie było od dwóch miesięcy... A jak się okazało przez następne

dwa tygodnie pogoda pozwalała najwyżej na bouldering w okolicach El Chalten,... no może jeszcze niedaleko miejsca naszego pobytu – campingu Rio Blanco... Wawa szybko udowodnił nam, że czasu to on jako porteador nie marnował. W końcu nie codziennie powtarza się trudne problemy Stefana Głowacza. Dzielnie statystował mu Marcin, ogólnie stał się hartowała. Tylko jakoś tak robiło nam się nieswojo, coraz bardziej z każdym kolejnym dniem niepogody.

Podczas pierwszych dni udało nam się jeszcze wynieść sprzęt na Passo Superior, przespać w wykopanej naprędce jamie i to by było na tyle. To znaczy – udało się nam jeszcze zawrzeć przez ten czas sporo interesujących znajomości i poznać równie wiele opinii, co do tego, jaką strategię działania należy przyjąć, ale jak się okazało na koniec – w Patagonii i tak wszystko sprowadza się do szczęścia.

Kiedy pogoda wreszcie się zrobiła, dosłownie wszyscy byli zaskoczeni. Nie tylko tym, że ściany były zavalone śniegiem – co nadawało im wygląd mocno zimowy, ale także tym, że pogoda się zrobiła i utrzymała przez dłużej niż jedno popołudnie.

Niestety, nasze działania w te pierwsze dni przypominały działania ślepego w ciemnym lesie. Zamiast wbić się w jakiś łatwy kuluar i poczekać na poprawę warunków, jak to się zwykle robić w każdym „normalnych” górach – od razu uderzy-

liśmy na poważne cele, a te, ze względu na wyjątkowo złe warunki, nie dały nam szans osiągnięcia jakiegokolwiek sensownej wysokości. W ten sposób wycofaliśmy się (w różnych konfiguracjach) z drogi Casarotto i drogi Francusko - Argentyńskiej na Fitz Royu, z Włoskiego Filara i próby nowej drogi na Aguja Saint Exupery (potworna kruszyzna), a potem znowu z drogi Francusko - Argentyńskiej (jeden z zespołów wycofał się na czterdzieści metrów przed polami podszczytowymi). W tym samym czasie inne zespoły kierując się zasadą, że w Patagonii cieszy „najmniejsze”, zaliczały wierzchołki Aguja



Od lewej: Aguja Poincenot, Fitz Roy, Aguja Mermoz i Aguja Guillamet.

Fot. J. Radziejowski

Guillaumet, Aguja Poincenot i Aguja de la'S, łatwymi klasycznymi drogami.

Kiedy wreszcie udało nam się przełamać impas (Wawa i Filip dokonali tego jako pierwsi), od razu zrobiło się przyjemniej. A i pokonane cele nastrajały pozytywnie. I tak po raz pierwszy Polacy stanęli na szczytach Aguja Saint-Exupéry, Aguja Mermoz i Aguja Guillaumet. Fitz Roy otrzymał 3 i 4 polskie wejścia (w tym jedno czysto klasyczne). Niewiele brakowało też by było i piąte polskie szczytowanie na „Fitzku” – jednakże czasem lepiej odpuścić.

Jedna z pokonanych dróg – to nowość. Jak to określili autorzy drogi – „logiczny ciąg zacięć i rys w lewej części zachodniej ściany Guillaumeta, droga o umiarkowanych trudnościach”. Pokonanie ok. 450 m dziewiczego terenu (plus 3 wyciągi na grani) w ciągu jednego dnia, to duży sukces (szczególnie na schemacie).

Smaczku przygodzie (trzynastego w piątek) dodaje kamienna lawina, która porwała pozostawione pod



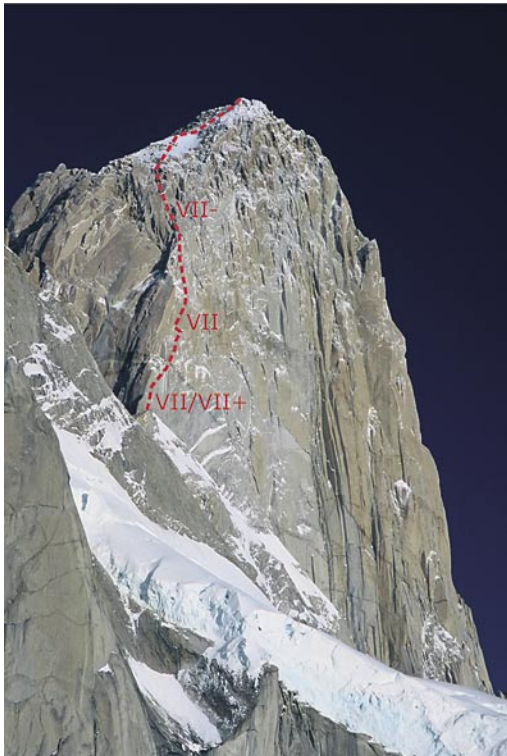
Maciej Ciesielski w środkowej części drogi Francusko-Argentyńskiej na Fitz Royu.
Fot. J. Radziejowski

ścianą buty, raki, plecak i różne różności (m.in. aparat cyfrowy). Kilka godzin poszukiwań z perspektywą pokonywania dwóch pół lodowych w butach wspinaczkowych i dalszych pięciu godzin marszu do namiotu w Rio Blanco, to według Marcina i Mariusza, niezapomniane przeżycie. Okazało się jednak, że mieli dużo szczęścia (już czternastego w sobotę), kiedy to po północy odnaleźli sponiewierany plecak, dwie pary butów (lekkie nadszarpnięte) i jedną całą parę raków. Reszta pozostała kilkaset metrów poniżej zachodniej ściany Aguja Guillaumet.

Podobnie pozytywnie można napisać o pokonanej w 9 godz. zachodniej ścianie Aguja Mermoz. Polski zespół prawdopodobnie „dokończył” drogę, ponieważ jej autorzy zakończyli wspinaczkę na grani. Było to też prawdopodobnie drugie przejście tej drogi, jednocześnie odhaczające jej hakowe wyciągi. Co więcej polski zespół rozwiązał nieco inaczej środek ściany omijając łatwe, piątkowe wyciągi kilkoma trudniejszymi wyciągami po kruchawych płytach. *Iper Mermoz* to siedemset metrów do szczytu i równomiernie rozłożone trudności.

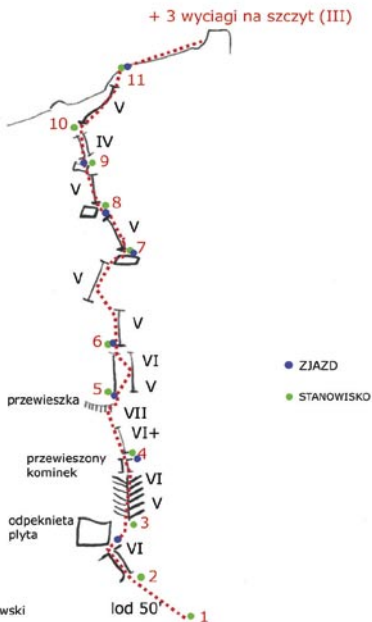
Również bardzo interesującą drogą jest Filar Włoski na Aguja Saint-Exupéry. Dobry jedenastogodzinny styl i pierwsze polskie wejście na szczyt to nie wszystko. Była to pierwsza pokonana droga przez Polaków w tym roku, i przełamując impas, natchnęła resztę ekipy do bardziej efektywnych działań.

Jeśli dodamy do tego dwa wejścia na Fitz Royu drogą Francusko - Argentyńską, to można śmiało uznać, że wyprawa w rejon Fitz Royu spełniła swoje cele. Nam pozostał, co prawda, lekki niedosyt (szczególnie, jeśli chodzi o pierwsze, nieco zmarnowane dni), jednakże rezygnując ze stylu portalowego na rzecz wspinania w stylu alpejskim, liczyliśmy się



Przybliżony przebieg drogi Francusko-Argentyńskiej na Fitz Royu.
Fot. J. Radziejowski

AGUJA GUILLAUMET
nowa droga; VII OS, 550-600m
Mariusz Nowak/Marcin Szczotka
13 II 2004



rys. J.Radziejewski

z tym, że próby w stylu „one push” mogą okazać się tylko próbami.

No cóż – Patagonia nie ucieknie, a Filar Casarotto, *Vol de Nuit* czy *Royal Flush* przecież nie znikną. Poza tym jest jeszcze druga strona Fitz Roya i masyw Torres. Kto wie czy nie pojawimy się tam tą samą ekipą za jakiś czas?

Uczestnicy wyprawy: Maciej Ciesielski (KW Poznań), Mariusz Nowak (KW Bielsko Biała), Jakub Radziejewski (UKA Warszawa), Marcin Szczotka (KW Bielsko Biała), Filip Zagórski (Warszawa), Wawrzyniec Zakrzewski (Speleoklub Warszawa).

Kalendarium ze szczegółami wejść:

- 15 I 2004. Wylot z Okęcia.
- 17 I 2004. Przyjazd do El Chalten.
- 18-19 I 2004. Wnoszenie sprzętu na Camping Rio Blanco.
- 20-22 I 2004. Rozrywki obozowe – bouldering, brydż i slackline
- 23 I 2004. Wynosimy sprzęt na Passo Superior, kopujemy jamę i spędzamy w niej nocleg – następnego dnia schodzimy w opadzie śniegu.
- 24-28 I 2004. Panuje zdecydowanie zła pogoda. Poprawa dopiero 28 stycznia.
- 29 I 2004. Próby na Fitz Royu – Casarotto (Ciesielski i Radziejewski) i dr. Francusko Argentyńska (Nowak i Szczotka) – obydwie próby kończą się na kuluarach (na Casarotto po 120 m, na F-A pod skalną częścią ściany) ze względu na bardzo złe warunki panujące w ścianach.
- 1 II 2004. Próba nowej drogi na Aguja Saint-Exupéry. W założeniu połączyliśmy się w jeden czwórkowy zespół. Jednakże podczas pierwszej „szczyty”, po urobieniu 120 metrów (V+/VI, 60') przez dwójkę Ciesielski-Radziejewski, okazało się, że wybrana przez nas linia jest bardzo krucha i kontynuacja wspinaczki byłaby niepotrzebnie ryzykowna.
- Tego samego dnia Zakrzewski Zagórski próbują po raz pierwszy Filara Włoskiego na tej samej ścianie. Wycof ze względu na warunki.
- 3 II 2004. Ponowne próby obydwu zespołów na drodze Francusko - Argentyńskiej. Warunki nadal bardzo niekorzystne. Próba zespołu

Ciesielski-Radziejewski kończą się jeden wyciąg poniżej łatwiejszej już kopuły szczytowej, a zespołu Szczotka-Nowak – 2 wyciągi niżej.

5 II 2004. Wawrzyniec Zakrzewski i Filip Zagórski dokonują I polskiego wejścia na szczyt Aguja Saint-Exupéry droga Buscainiego (tzw „Filar Włoski”) o trudnościach 6c (OS) i długości 850 metrów.

7 II 2004. Fitz Roy droga Francusko Argentyńska, (VII/VII+ RP, A1 - A1 ze względu na spore oblodzenie i śnieg): Marcin Szczotka i Mariusz Nowak; III polskie wejście na Fitz Roya.

Aguja Mermoz zachodnią ścianą, droga *Iper Mermoz*: Maciej Ciesielski i Jakub Radziejewski (VII+ OS, oraz własne 4,5 wyciągu o trudnościach VII (OS) z jednym trawersem na sztywno (tzw. „tension traverse”), czyli A0. 14 wyciągów + 3 grania, 700m, 9h. Jest to I polskie wejście na szczyt, prawdopodobnie II przejście drogi, zresztą pierwsze do szczytu, gdyż autorzy drogi (m.in. M. Giordani) zakończyli swoją wspinaczkę na grani. Oryginalnie droga miała trudności VII+ A1; wyciągi A0 i A1 przeszliśmy klasycznie. Nowe wyciągi (VII-, VII-/VII, VII-, VI+/A0 i V+) rozwiązują środek płyt zamiast wyciągów piątkowych po lewej stronie.

13 II 2004. Aguja Guillaume – nowa droga na zach. ścianie, na lewo od drogi *Padrijo*: Marcin Szczotka i Mariusz Nowak. Trudności VII (OS), 10 wyciągów oraz 4 dalsze grania (łącznie 550-600m), I polskie wejście na szczyt. W trakcie wspinaczki miał miejsce spory obryw na lewo od linii drogi, który zmiotł pozostawione u podstawy ściany rzeczy. Pomimo tego, że część z nich odzyskano (buty!!!) akcja górską (zejście) wydłużyła się nadprogramowo.

14 II 2004. Fitz Roy droga Francusko Argentyńska; Maciej Ciesielski i Jakub Radziejewski (VII/VII+, RP) – prawdopodobnie jedyne klasyczne przejście tej drogi w tym sezonie (przynajmniej do 17 II), ze względu na to, iż warunki w ścianie były nieco lepsze niż tydzień wcześniej. Z Passo Superior do Passo Superior 25 godz. IV polskie wejście na Fitz Roya.

Sponsorzy (SERDECZNE PODZIĘKOWANIA!!!):

Polski Związek Alpinizmu, Technika Górską, Urząd Miasta Bielsko Biała, Bergson, Montano, Grande Grimpe, Bank Spółdzielczy w Węgierskiej Górcie, Ośrodek Promocji Kultury w Węgierskiej Górcie, Powiat Kościan, Urząd Miasta Śmigiel, UKA Warszawa, KW Bielsko Biała, KW Poznań.



Przybliżony przebieg drogi *Iper Mermoz* na Aguja Mermoz.
Fot. J. Radziejewski

Na Filarze Szchary

Paweł Karczmarczyk

„Wiem o Szcharze wiele, znam jej historię, doceniam trudności i niebezpieczeństwa... Ale twarzy jeszcze nie znam...”

Te słowa Jana Długosza aktualne były dla mnie do momentu, kiedy z Michałem Ziółkowskim stanęliśmy po raz pierwszy na jej wierzchołku pokonując klasyczną północno-zachodnią grań w 2001 roku. Dziś stoję na „austriackim biwaku” i brzmią one zupełnie inaczej:

„Wiem o Szcharze jeszcze więcej, poznałem jej trudności i niebezpieczeństwa... Ale chcę ją poznać jeszcze lepiej...”

Północny filar przyciąga jak magnes, nie da się przejść obok niego nie wyrażając słów zachwytu. Mówią, że to kaukaski odpowiednik „Walkera”, łatwiejszy technicznie, ale dłuższy – 1800 metrów. To właśnie tę drogę wybieramy, aby poszerzyć swoją znajomość z górą. Szchara w tym sezonie zdaje się być niezbyt łaskawa. Najpierw z dwójki rosyjskich wspinaczy, zmagających się z północnym filarem, w dół schodzi tylko jeden. Potem jeszcze kilka „wycofów” z północno-zachodniej grani.

Nie chcemy podchodzić pod drogę bez wcześniejszego przygotowania. Najpierw pokonujemy z Olą trawers Urali 4B, potem z moim rosyj-

skim partnerem – Pik Borowikowa (4888 m.) 5A i Miżirgi (5025 m) 5A od południa.

Nadszedł czas na ostateczną rozgrywkę. Po raz kolejny pokonujemy 15-kilometrowy odcinek lodowca Bezingi, instalując się na „austriackim biwaku”. Tego dnia pogoda jest obiecująca. Po południu wychodzimy, aby rozbić biwak na lodowcu pod filarem, by rano po ciemku nie błądzić w labiryncie szczelin. Noc przed wyjściem jest zawsze taka sama – kalejdoskop myśli, uczuć i wrażeń. Wychodzimy jeszcze po ciemku. Z każdym krokiem filar staje się coraz większy. Nie przeraża mnie już jednak skala tych gór. Zaczynam w myślach liczyć, która to droga na Kaukazie. Raz, dwa... siedem... piętnaście... dwudziesta, można powiedzieć – jubileuszowa!

Podejście i dolne partie filara są najbardziej niebezpieczne. Z lewej strony wiszą seraki górnego kotła, z prawej „sypiąca” północno-zachodnia ściana, pod którą wykonujemy szybki trawers. Jesteśmy na ostrzu. Pierwszy sukces, choć przystopem tak naprawdę się zaczyna. Ruszamy dalej w słabej widoczności. Nie zawsze udaje się nam

wybierać najlepsze warianty, więc tempo spada. Przystajemy już liczyć wyciągi. Tam, gdzie tylko trudności odpuszczają napieramy z „lotną”. Po zmroku docieramy do śnieżnego „noża” – to 3/4 ściany. Zakładamy biwak, wykopując wcześniej łopatą platformę pod namiot. Nie jest źle – myślę sobie. Jutro powinniśmy wejść na wierzchołek i przy dobrym tempie zejść na „austriacki biwak”.

W nocy Szchara jednak uświadamia nam, że bez walki nas nie puści. Zrywa się silny wiatr, zwiększa



Szchara z pn. filarem. Z prawej Dżangi-Tau (5094 m)

Fot. P. Karczmarczyk



Nasze miejsce biwakowe

Fot. P. Karczmarczyk

się opad śniegu. Rano orientujemy się, że widoczność spadła do 10 metrów. Mimo to wychodzimy. Po kilku wyciągach dochodzimy pod barierę seraków u wejścia w kopułę szczytową. Tutaj dwa warianty – po skałach lewą stroną albo lodem – bezpośrednio pod serakami. Nie chcemy już czyścić kompletnie zaśnieżonej skały, więc decydujemy się na szybkie przemknięcie obok „olbrzymów”. Wchodzimy pod nawisy, które swą przytulnością nęca, by zatrzymać się wśród nich choćby na chwilę. Łapię się na tym, że prowadzę z nimi w myślach rozmowę, w której grzecznie – jakbym nie chciał ich urazić – odmawiam gościny. Wchodzimy w kopułę. Śnieg sięga do pasa, a widoczność spada do tego stopnia, że każdy zawiany motyl na śniegu, leżący na wyciągnięcie ręki, kojarzy się nam ze skałami oddalonymi o pół wyciągu. Zmusza to nas do założenia biwaku, choć godzina na zegarze jeszcze wczesna. Instalujemy się w namiocie i czekamy na jakieś zmiany. Dziś nie przyszły, może jutro...

Kolejny dzień nie przynosi zmian. Zmęczeni oczekiwaniem wychodzimy po południu, aby przestawić nasz namiot 100 metrów wyżej. Jest ruch i to się liczy. Znow zapadamy w sen z nadzieją, że naza jutrz będzie lepiej.

Pierwszy budzi się zmysł słuchu, który informuje, że cały czas na namiot coś sypie. W drugiej kolejności otwieram oczy i od razu zastanawiam

się dlaczego jest tak jasno. Nerwowo rozpinam namiot. Na zewnątrz „lampa” – to tylko wiatr zwiewa z wierzchołka nagromadzony śnieg. Spaliśmy 150 metrów pod nim. Bez większego pośpiechu zjadamy śniadanie i za chwilę stajemy na wierzchołku. Znow twarzą w twarz ze Szcharą, na granicy Rosji i Gruzji, regionów Balkarii i Swanecji.

Schodzimy ostrą północno-zachodnią granią, co nie daje nam wciąż odetchnąć i cieszyć się sukcesem. W szalonym tempie przechodzimy newralgiczne miejsca na grani mając nadzieję, że partner, w razie obsunięcia, w odpowiednim momencie zareaguje. Z ulgą dochodzimy do pętli zjazdowych.

Jazda w dół to już komfort psychiczny, choć nadal staramy się nie uśpić naszej czujności. Po południu jesteśmy na „poduszce”. Po lodowcu idziemy jak w transie, ograniczając się do wypracowanych ruchów. Wszystkie myśli i pragnienia są bardzo ubogie. Traktują tylko o ciepłym śpiworze i herbacie. Tego dnia w odpowiedzi na gratulacje znajomych możemy wydukać tylko proste „dzięki”. Cieszyć się z sukcesu



Po biwaku

Fot. P. Karczmarczyk

będziemy jutro, na świeżo, nie obciążeni tyloma wrażeniami.

Szchara (5201 m) – północny filar, droga Tomaszek – Müller, 5B: Oleg Babak (Rosja) i Paweł Karczmarczyk (KW Warszawa), 21-24.VIII.2003

Informacje praktyczne

Kaukaz jest regionem o zwiększonym ryzyku, choć sama republika Kabardyno-Bałkarii jest dość bezpieczna (czasem zdarzają się jednak porwania lub zamachy). Dlatego dobrze jest zorganizować transport i pozwolenia przez internet, by nie kraść wiele na miejscu (zwłaszcza gdy jedzie się pierwszy raz).

Najlepszym połączeniem kolejowym jest pociąg Brześć – Mineralne Wody, który kursuje w dni parzyste (do Brześcia najlepiej dojechać pociągiem z Terespoła). Niestety, nie ma możliwości rezerwacji ani zakupu biletów w Polsce. W związku z tym najlepiej pojechać do Brześcia po bilety tydzień lub dwa przed planowanym wyjazdem. Pociąg z Brześcia do Mineralnych Wód jedzie 54 godziny, a całkowity koszt przejazdu to około 50 \$ w jedną stronę.

Przelet samolotem Warszawa – Moskwa – Mineralne Wody wymaga noclegu w Moskwie. Koszt przelotu to około 415 \$ z opłatami lotniczymi. Aby uzyskać aktualne informacje i/lub zarezerwować bilety najlepiej skontaktować się z biurem SMS w Warszawie – tel. (22) 827 48 27.

Przed wyjazdem wskazane jest, by wysłać e-maila do Kabardyno-Bałkarskiego Klubu Alpinistycznego w Nalcziku. W mailu należy zawrzeć: datę i godzinę przyjazdu, skład grupy z wybranym jej przewodnikiem, numery paszportów i prośbę o wyrobienie pozwolenia na poruszanie się w regionie przygranicznym oraz zorganizowanie transportu. Zamówione auto odbiera nas z dworca lub lotniska i zabiera prosto do bazy. Cena transportu zależy od wielkości samochodu, która jest dopasowywana do ilości osób w grupie. Wynajęcie uaza lub minibusu kosztuje 80 \$, natomiast autobusu – 100 \$.



Na wierzchołku Szchary. W oddali Elbrus. Arch. P. Karczmarczyk

Ceny noclegów w bazach:

Pole namiotowe ~ 1,5 \$

Pokoje w parterowych „barakach” ~ 6 \$

Pokoje w domkach z prysznicami ~ 15 \$

e-mail: Postmaster@Bezengi.nalnet.ru oraz bez@kbsu.ru

Dodatkowe informacje na stronie : www.mountain.ru/bezengi

Zorganizowanie dojazdu i pozwoleń za pośrednictwem Kabardyno-Bałkarskiego Klubu Alpinistycznego zaoszczędza wiele czasu, a może i nieprzyjemności.

Paweł Karczmarczyk

Kaukaz, a nasze ...chęci

Działalność autora powyższego artykułu, na tle współczesnych kierunków polskiego alpinizmu, stanowi prawdziwy ewenement. Odległe są czasy, gdy w Kaukaz wyjeżdżały grupy naszych czołowych alpinistów a wyniki tam uzyskane dorównywały, a często i przewyższały osiągnięcia alpejskie. Rejon Bezingi leżał zawsze w polu zainteresowania Komisji Sportowej Klubu Wysokogórskiego a potem Polskiego Związku Alpinizmu, ze względu na swoje wyjątkowe walory wysokogórskie. Niestety, rzadko udawało się przebić przez sowiecką biurokrację, i wysłać tam polską – reprezentacyjną grupę. Owszem, często wyjeżdżali w Kaukaz – i mieli dobre osiągnięcia – członkowie Klubu Turystów Górskich (późniejszego PKG) – organizacji umocowanej w strukturze związków zawodowych i korzystającej z wynikających stąd ułatwień. Ale to już inna historia... Od czasu przemian ustrojowych na przełomie lat 80 i 90, polska obecność na Kaukazie w zasadzie ograniczała się do wyjazdów narciarskich lub półturystycznych w rejon Elbrusu. Wejścia prawdziwie wspinaczkowe należały do rzadkości

a w ich trakcie pokonywano tylko przeciętne trudności. Tym bardziej należy cenić osiągnięcia Pawła Karczmarczyka, który rok rocznie, w okresie 1999 – 2003, wyjeżdżał w Kaukaz, a jego wykaz przejść w tych górach zawiera 20 dróg, w tym kilka o trudnościach 5A i jedna – wyżej opisany pn. filar Szchary – 5B

Czy w jego ślady pójda inni? W tytule tego komentarza celowo nawiązuję do znanego artykułu Marka Stefańskiego sprzed lat („Alpy, a nasze możliwości”, „Taternik” 1/1958). Możliwości niewątpliwie są, niezbędne, nie tak znów wielkie pieniądze, pewnie by się znalazły, ale czy są chęci...?

Janusz Kurczab

Gesäuse – opis rejonu

Jacek Patrzykont

Gesäuse to pasmo znane w Polsce tylko nielicznym wspinaczom. Powodów jest jak mi się wydaje parę. Góry Austrii odwiedzane są generalnie raczej przez narciarzy. Panuje opinia, że są kruche (pasmo Karwendel jest rzeczywiście kruche), nie mają ścian tak znanych jak Dolomity czy Alpy Francuskie lub Włoskie, jest tam niewielka ilość kempingów – czyli taniej bazy wypadowej, ilość informacji o nich w polskiej prasie fachowej jest sporadyczna.

Tymczasem są to góry, które zdecydowanie zasługują na częstsze odwiedzanie. Mają kilka zalet: bliski, szybki i tani dojazd, duże i dzikie ściany dla koneserów, lub mniejsze – dla wspinaczy o stonowanych umiejętnościach i delikatnej psychce. Jakość skały w ścianie sami sobie wybieramy, wertując dokładne lub bardzo dokładne wydania najnowszych przewodników. Baza noclegowa oferuje w zależności od zasobności portfela drogie hotele lub pensjonaty ale także zupełnie tanie schroniska (zniżki na legitymacje klubowe), lub darmowe krzaczory, koleby itp.

Gesäuse to niewielkie ale piękne pasmo austriackich Alp Wschodnich. Nazwa ta jest używana głównie przez wspinaczy, z punktu widzenia geografów są to Alpy Ennstalskie (Ennstaler Alpen). Gesäuse jest praktycznie jedną, głęboko wcięta doliną o przebiegu wschód – zachód. Jej dnem płynie rzeka Enns, popularne miejsce raftingu i spływów kajakowych. Po obydwu stronach wznoszą się ściany, z tym, że po orograficznie prawej stronie są te zasadniczo nas interesujące – czyli mur skalny o długości prawie dziesięciu kilometrów i wysokości od 400 do 700 m. Kilka dróg wiodących filarami lub w poprzek ścian ma 800-1000m długości. Wysokości szczytów są podobne jak w Tatrach, trochę powyżej dwóch tysięcy. Hochtor, najwyższy wierzchołek pasma, liczy 2369 m.

Historia eksploracji pasma liczy około 150 lat, kiedy to na łatwiejsze szczyty i przełęcze zaczęli wchodzić pasterze, myśliwi i także mnisi z klasz-

toru w Admont. Za nimi pojawili się turyści, ściągnięci urokami miejsca.

Wspinacze rozpoczęli działalność na przełomie XIX i XX w. Przechodzono najłatwiejszym terenem ściany i granie. Pojawili się też zagraniczni wspinacze, aby rozwiązywać przejścia tutejszych niezdobitych formacji. W 1910 roku znany zespół A. Dibona, L. Rizzi i bracia G. i M. Mayer przeszedł 700 metrowy północny filar szczytu Grosser Ödstein – znany wówczas wielki problem alpejski.

W latach 20 i 30 Gesäuse stało się ulubionym rejonem wspinaczy z Wiednia i Grazu. Poprowadzili oni trudne drogi północnymi ścianami masywu, dziś w większości zaliczane do „obowiązkowych” standardów. Warto wymienić takie drogi jak: *Rosskuppekante* (F. Hinterberger i K. Sixt – 1925 r., 480 m, 6+), *Nordwand* na *Peterschartenkopf* (L. Jacsinski, R. Fraissl – 1929 r., 450 m, 5+), *Dachl Nordwand* (K. Moldan, H. Rössner i J. Schintlmeister – 1931 r., 380 m, 6+), *Dachlkante* (F. Kasperek i R. Schinko – 1933 r., 400 m, 6) i *Todesverschneidung* (Zacięcie Śmierci) na *Rosskuppe* (R. Schinko i F. Sikorowski – 1936 r., 350 m, 6+).

Od końca II wojny światowej do lat sześćdziesiątych trwała dość intensywna eksploracja wspinaczkowa, potem zainteresowanie rejonem osłabło, zauważano na wielu drogach niedostateczną asekurację, słabą jakość istniejących punktów. Pod niektóre drogi podejścia były trudne orientacyjnie i poprzedzone niemiłym „Vorbauem” (przedścianiem). W latach 70 i 80 alpiniści pojawiali się już nie tak często jak dawniej. W tym okresie należy wymienić twórczą działalność K. Hoi, który poprowadził kilkadziesiąt nowych dróg. Tragicznym rokiem okazał się rok 1988, w którym w ścianach Gesäuse zginęły trzy zespoły (sześciu wspinaczy). Przyczyną wszystkich tych wypadków było wyrwanie haków stanowiskowych. Od tego roku władze Landu Steiermark finansują akcję ubezpieczania starych dróg i prowadzą akcję „nowe drogi – bez-



Alpy i Kaukaz



Północny filar Grosser Ödstein. Fot. J. Patrzykont

pieczeństwo w górach”. Przy pracach czynnie pomagają miejscowi wspinacze i alpiniści. Akcja przynosi efekty, w postaci podniesienia bezpieczeństwa i zwiększającej się ilości wspinaczy. Warto też wspomnieć o tym, że od roku 1958 zasadnicza część pasma jest Parkiem Narodowym. Władze parku przychylnie są działalności turystycznej i wspinaczkowej, pod warunkiem znanym wszystkim – nie śmiećmy, nie hałasujemy, nie niszczymy.

Autorzy przewodnika „Gesäuse Auswahlführer” dzielią pasmo na trzy grupy.

1. Hochtorgruppe
2. Buchsteingruppe
3. Reichensteingruppe

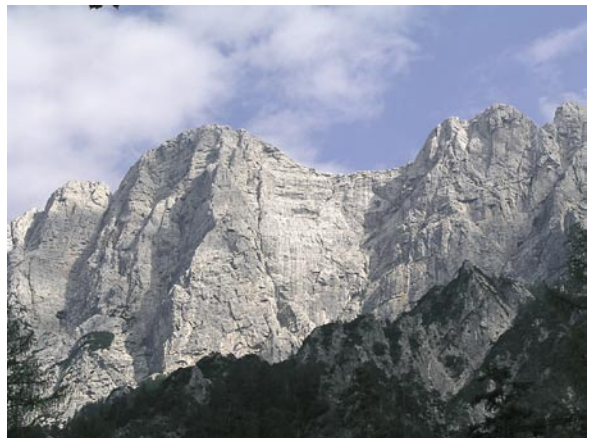
Hochtorgruppe powinna stanowić zasadniczy cel naszego wyjazdu. Są tu wszystkie wielkie północne ściany szczytów Planspitze, Dachl, Hochtorg i Ödstein, z drogami wymienionymi wcześniej. Główną bazą w tym rejonie jest schronisko Haindlkarhütte (1-1.5 godz. podejścia od parkingu). Z niego podejścia pod ściany zajmują od 1 do 3 godzin. Jeśli nie jesteśmy naprawdę dobrze rozwspinani warto wychodzić bladym świtem, lub trochę wcześniej, bo zejścia są niekiedy długie i trudne orientacyjnie.

Jeżeli chcemy wspiąć się na ścianach południowych, do wyboru mamy dwa szczyty Kleiner Ödstein – 500m wspinania w płytach i żłobkach wodnych(!) oraz Festkogel – z opisanymi siedmioma drogami długości ok. 300 m, o trudnościach od 4+ do 8- i wiodących w dobrej lub bardzo dobrej skale. Podejście pod ścianę, można sobie urozmaicić pokonując przedścianie jedną z kilku dróg o trudnościach od 5 do 7 długości 120 metrów. Do wypadów od południa najlepszym miejscem będzie mała miejscowość Jonsbach, oraz schronisko Heissshütte. W Jonsbach znajduje się placówka Parku Narodowego i Pogotowia Górskiego – Alpiner Rettungsdienst Gesäuse. Znajdziemy tu także wiele możliwości noclegu, od hotelików po odpowiedniki naszych kwater agroturystycznych. Wartym obejrzenia jest kościółek z małym cmentarzem, gdzie pochowane są ofiary gór.

Podejścia pod ściany z Jonsbach są długie – około 2 – 2,5 godziny, podobnie zejścia. Heissshütte leży o 1,5 godziny marszu od Jonsbach. Doskonały punkt wypadowy – oszczędzamy przynajmniej godzinę podejścia pod większość południowych ścian.

Najtrudniejszą drogą całej grupy (do 2002 r.) jest *Anima Mundi* na Dachl (400 m – 14 wyciągów, o trudnościach sięgających 9/9+).

Buchsteingruppe, to orograficznie lewa część doliny. Choć w przewodniku opisane są trzy szczyty Grosser Buchstein, Kleiner Buchstein i Tieflihmauer, to wspinaczkowo ciekawy jest tylko ten pierwszy. Jego południowa ściana oferuje dziesięć dróg po 300-350 m i trudnościach od 6 do 9-, przeważnie w dobrej skale i dobrze ubezpieczonych. Zejście z dróg jest albo zjazdami,



Planspitze i Peterschartenkopf.

Fot. J. Patrzykont



Ostatnie metry filara Rosskuppe. Fot. J. Patrzykont

albo łatwym klettersteigiem (ferrata). Opis podejścia zostawiłem na koniec, żeby nie zniechęcić do lektury tego fragmentu. Od dna doliny (około 600 m.npm.) do schroniska Buchsteinhaus. (1546 m.) podchodzimy 2,5-3 godziny. Stąd pod ścianę jest już niedaleko – ok. 30-45 min. Trud podejścia rekompensuje widok północnych ścian grupy Hochtor.

Grupa trzecia – **Reichensteingruppe**, wznosi się od południa nad miejscowością Admont. W jej skład wchodzi trzy wierzchołki: Kalbling, Sparafeld i Reichenstein, na które wiodą opisane drogi wspinaczkowe. Z nich tylko dwa pierwsze godne są większego zainteresowania. Na południowej ścianie Sparafeld opisane są dwie drogi długości ok. 220 m. i trudnościach sześć plus i osiem plus. Natomiast Kalbling oferuje trzynaście dróg na ścianach południowej i wschodniej. Przeciętna ich długość wynosi trochę przeszło 200 metrów. Jest to świetny rejon na rozwspinięcie. Mamy do wyboru trudności od 4 po 8+ i jedną bardziej skałkową (75 m) dziewiątkę minus.

Bazą wypadową tego rejonu jest schronisko Oberst Klinke Hütte, łatwo osiągalne z Admont samochodem (ostatni odcinek drogi jest płatny). Jeśli dostaniemy zniżkę na legitymację klubową,

to koszt noclegu turystycznego (łóżko, koc i poduszka) jest niewielki. Spod schroniska podejście pod ściany zajmuje od 1 do 2 godz., zejścia z wierzchołków – tyle samo.

We wspomnianym przewodniku opisany jest też szczyt Grosse Scheiblingstein w paśmie Hallermauern, leżącym na północ od Admont. Autorzy polecają dwie drogi: *Westwand* – ekstrem z lat trzydziestych, autorstwa F. Schmid – R. Klose – K. Reifschneider (400 m, 6-, A1) i ekstrem współczesny *Walhalla* (K. Steinmetz – R. Edelsbacher, 400 m, trudności kluczowe 8+/9-).

Gesäuse jest górskim skalnym rajem, a więc nie każdemu dostępnym. Jest przygodą, którą polecam dla osób z doświadczeniem. Wybieram się tam w tym roku ponownie, co powinno zawoocować bogatszym materiałem zdjęciowym i nowymi poradami praktycznymi.

Dojazd.

Gesäuse leży na terenie landu Steiermark (Styria). W zależności, z której części Polski wyruszamy, musimy dotrzeć albo do Wiednia, albo do Linzu. Z Wiednia autostradą A2 kawalek za Neunkirchen, tam odbijamy na zachód (znaki na Semmering, Leoben). W Leoben można: albo skręcić na północ i przez góry drogą nr.115 dotrzeć do Hieflau, gdzie od wschodu wjeżdżamy w dolinę Ennu, lub objechać pasmo autostradą A9 po stronie południowej przez Rottemann i od zachodu dotrzeć do Admont.

Z Linzu, jadąc autostradą A1 na Salzburg, po ok. 30 km skręcamy autostradą A9 na południe (znaki na Graz). Za Spital am Pyhrn przejeżdżamy przez płatny tunel i na wysokości miasta Liezen wjeżdżamy z autostrady (znaki na Admont).

Przewodniki i mapy

Najlepszym i najaktualniejszym przewodnikiem jest „Gesäuse Auswahlführer” Reinmüller/Hollinger/ Mikofei, wydany w maju 2002 roku. Zawiera opisy prawie 90 dróg górskich i kilku małych rejonów skałkowych.

Wystarczającym przewodnikiem na pierwszy wyjazd jest „Kletteratlas Österreich Ost” Kurta Schalla z wyborem dróg.

Dobrymi mapami są: Alpenvereinskarte Ennstaler Alpen Gesäuse 1:25 000 i Kompas Wanderkarte Gesäuse – Pyhrn Eisenerz 1:50 000

Strony internetowe

www.bergsteigen.at – informacje wspinaczkowe ze wszystkich rejonów Austrii, schematy, itp.
www.xeis.at – informacja turystyczna o rejonie.
Strony internetowe ważniejszych miejscowości : www.admont.at
www.johnsbach.at www.weng.at
Informacja turystyczna w Admont: 0043(0)3613/2164. Można tu zarezerwować noclegi w schroniskach, dowiedzieć się o pogodę i o rafting rzeką Enns.

Polskie lato 2003 w Masywie Mont Blanc i Dolomitach

Jakub Radziejowski

O większości z poniżej wymienionych przejść wiadomo oczywiście od końca sezonu 2003, jednakże wydaje się, że ubiegły sezon letni był na tyle ciekawy, iż warto zebrać wszelkie dostępne informacje na jego temat i opublikować je w „Taterniku”, szczególnie w kontekście zbliżającego się sezonu letniego 2004. Z pewnością nie są to wszystkie ciekawe przejścia roku 2003, jednakże jak powszechnie wiadomo – naród nie jest specjalnie skory do dzielenia się informacjami o swoich sukcesach. Zawsze lepiej ponarzekać.

Co można napisać oprócz samego wymienienia przejść? Z pewnością „najlepsze” działo się na Marmoladzie (głównie za sprawą zespołu Lipka-Skorek, nagrodzonego za swoje przejścia przez Komisję Unifikacji PZA). Tre Cime di Lavaredo są już tak naprawdę ogródkiem treningowym dla Polaków – było naprawdę wiele niezłych przejść („Diretka” Szwajcarska czy *Gelbe Mauer*), ale cieszy też nie tylko to, że polskie przejścia klasyczne *Comicięgo* są już pewną normą – podobnie można chyba już mówić o „Diretce” *Hasse-Brandlera*.

W Chamonix też nie było źle. Przejście drogi *Harlina na Fou*, *Passage Cardiaque* na Dru czy pierwsze polskie klasyczne *Bonattiego* na Grand Capucin wróżą całkiem niezłe na przyszłość.

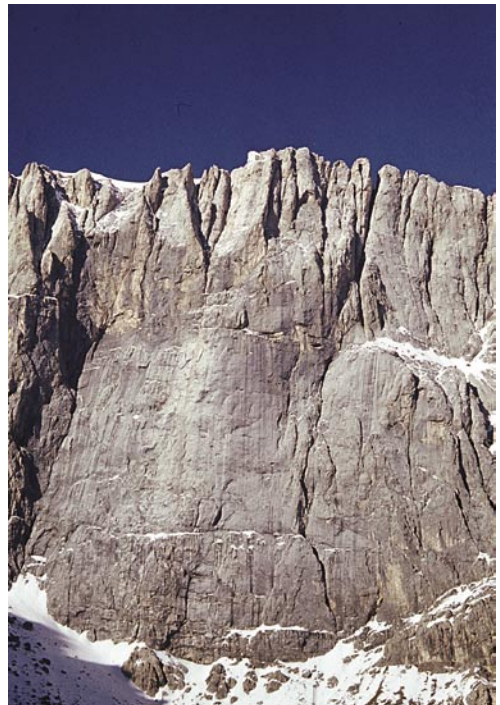
Pozostaje tylko zaapelować o przesyłanie informacji o Waszych przejściach na adres mailowy „Taternika”.

Dolomity

- Andrzej Lipka (KW Łódź), Grzegorz Skorek (KW Gliwice): Marmolada *Via Specchio di Sara* (IX, RP, 8h), II polskie przejście., *Ali Baba* (VII, A3 11,5h), I polskie przejście i I jednodniowe;
- Cezary Modrzejewski (KW Toruń), Sławomir Sławatecki: Cima Ovest *Diretissima Szwajcarska* (VIII-/IX-, OS), *Via Cassin* (VIII-, OS) 7h, Cima Grande *Diretissima Hasse-Brandler* (VIII, OS), *Comici* (VII, OS);
- Wojciech Kozak, Jan Kuczera: Cima Grande *Comici* (VII, OS, 9h), *Hasse-Brandler* (VIII, OS, 10,5 h), Cima Piccola *Gelbe Mauer* (IX-/IX OS/flash 9,5h), Marmolada *Gogna* (VII, OS), *Via Ombra da Sole* (VII+ OS/flash, 6h), *Tempi Moderni* (VII+, OS, 11,5 h);
- Wojciech Kozak, Jan Kuczera, Marcin Tabaka: Cima Ovest *Filar Wiewiórek* (VIII-/VIII OS, 12 h);
- Sławomir Cyndecki, Maciej Fijałkowski: Marmolada *Mit Frack und Chapeau Claque* (VII, OS);
- Miłosz Jodłowski, Marcin Tabaka: Marmolada *Via Soldà* (VI+);
- Daniel Piskorz, Paweł Tarnawski: Cima Grande *Comici* (VII);
- Michał Nowak, Krzysztof Sadlej (UKA Warszawa): Marmolada *Gogna* (VII, OS, 9h);
- J. Kumorek, Mariusz Nowak (KW Bielsko-Biała): Marmolada *Via dell'Ideale* (VII, OS);

Masyw Mont Blanc

- Andrzej Lipka (KW Łódź), Grzegorz Skorek (KW Gliwice): *Aiguille du Fou Voie Harlin* (XI/IX+, styl A0);
- Adam Pieprzycki, Marcin Szczotka: *Aiguille du Midi La Dame du Lac* (VII/VII+, OS, 200m), 23.07, *Petit Dru Passage Cardiaque* (VII+ OS, A1/A2, 700m), 28-29.07 i 1-2.08, *Pointe Daniel Tanton Daniel* (VII+, OS, 250m), 6.08;
- Maciej Ciesielski (KW Poznań), Jakub Radziejowski (UKA Warszawa) *Filar Walkera* (VI+/VII-, OS) *Grandes Jorasses*, 5-6.08 (14h);
- Maciej Ciesielski (KW Poznań), Jakub Radziejowski (UKA Warszawa), Wawrzyniec Zakrzewski (Speleoklub Warszawa): *Petit Jorasses Anouk* (VII/VII+, OS), 3.08, *Grand Capucin Bonatti - Ghigo* (VIII-/VIII, OS/flash), 10.08, I polskie przejście klasyczne;
- Robert Burak (Speleoklub Warszawa), Szczepan Głogowski (Speleoklub Warszawa): *Petit Jorasses Anouk* (VII/VII+, OS, 3.08, *Grand Capucin Bonatti - Ghigo* (VIII-/VIII, A0);
- Paweł Kopta (KW Kraków), Piotr Poloczek: *Petit Dru Directe Americaine* (VII+, OS, 500m), 5.08;
- Maciej Ciesielski (KW Poznań), Paweł Kopta (KW Kraków), Piotr Poloczek: *Aiguille du Blaitière Tropili pour Eter Honnete* (VIII, OS, 180 m), *Aiguille du Midi La Dame du Lac* (VII/VII+, OS, 200m);



Południowa ściana Marmolada d'Ombretta Fot. J.Kurczab

Cele alpinistyczne i eksploracyjne w Karakorum Zachodnim

Jerzy Wala

Na przykładzie Karakorum Zachodniego widać jak wiele jeszcze różnych celów można znaleźć i to na miarę możliwości każdego alpinisty. Ci którzy chcą ograniczać się do wędrówek, poznając krajobraz i folklor, mają tu też swoje miejsce.

Opis topograficzny terenu znaleźć można w moim artykule: "Karakorum Zachodnie", opublikowanym w poprzednim numerze "Taternika". Omawiany obszar został w nim podzielony na pięć grup górskich. Do tego podziału nawiązuje ten artykuł.

Na mapach orograficznych do książki Wolfganga Heichela [lit. 43]* o eksploracji omawianego tu obszaru Karakorum a zawierającej krótkie opisy 150 wypraw, zaznaczyłem 1080 wierzchołków, z których 91 – to jest 8% – dodatkową sygnaturą określającą, że dokonano na nie wejść. Biorąc pod uwagę, że Karakorum Zachodnie w granicach tu przyjętych stanowi 15% powierzchni Karakorum i zakładając podobną „gęstość” wierzchołków na całym jego obszarze, to w całym tylko Karakorum mielibyśmy ich ponad 7000. A przecież nawet całe Karakorum jest niewielkie w stosunku do obszaru górskiego Centralnej Azji! Już to świadczy o nieograniczonych możliwościach eksploracyjnych.

Dotychczasowa polska działalność

W stosunkowo przystępnym terenie Karakorum Zachodniego alpinści polscy ograniczyli się do trzech wypraw: w 1974, 1983 i 1988 roku. Wprawdzie były to bardzo wybitne osiągnięcia

– pierwsze wejścia na Shishpare Sar (7611 m), Ghenta (7090 m), Batura V (7531 m) i Batura VI (7462 m) oraz trzecie wejście na najwyższy szczyt Batura I (E, 7795, 7785 m) (tabela 1), ale poza paroma wypadami trekkingowymi, o Polakach tu cicho.

Uczestnicy wyprawy polsko-niemieckiej 1974 roku: H. Borchers, A. Młynarczyk i J. Poręba spenetrowali dolną część Lodowca Ghulkin. Był też na tym lodowcu samotnie M. Bała w 1994 roku.

W 1979 roku przy okazji Wyprawy PTPNoZ - Kraków w Hinduraj, Jolanta Mesjasz-Przybyłowicz, W. Przybyłowicz, Z. Rycerz i J. Wala zwiedzili Lodowiec Shishpar (Hasanabad) przywożąc zdjęcia z jego otoczenia.

W 1987 roku M. Rożek z towarzyszem wchodzi na przełęcz Ultar La (5200 m) pod igłą Bubl Motin (5900 m) z doliny Ultar Gah.

Adam Zachwieja, zamieszkały w Kanadzie, przedwojenny pilot sportowy, zwiedza dolinę Naltar Gah do Dumial oraz miejscowość Bar w dolinie Tutu Uns (Bar Nala) a także cały ciąg doliny Hunza z Orlim Gniazdem (Eagle's Nest, Tok 2800 m) i jeziorem Borit Jil (2650 m) oraz Sost (Pakistan Check Post). Jego zdjęcia i wartościowe informacje topograficzne oraz sprostowania do moich opracowań były wiarogodne i cenne – pomagały mi w opracowaniach map orograficznych Karakorum, szczególnie ostatnich.

Tabela 1

Nazwa szczytu	Wysokość w	Uczestnicy i data wejścia na szczyt	Nazwa wyprawy kierownik i rok
Shishpare Sar	7611	H.Bleicher, L.Cichy, M.Grochowski, J.Holnicki-Szulc, A.Młynarczyk, H.Oberhofer, J.Poręba, 21.07 o godz. 18.35	Polско-niemiecka Akademicka Wyprawa w Karakorum 1974, kier. Janusz Kurczab
Ghenta	7090	Janusz Kurczab, 21.07 o godz. 16.30	Polско-niemiecka Akademicka Wyprawa w Karakorum 1974, kier. Janusz Kurczab
Batura V	7531, 7555	Z.A.Heinrich, V.Stallbohm, 31.08 godz. 16.00	Krakowska Wyprawa w Karakorum – Batura 1983, kier. Władysław Wisz
Batura VI	7462	Z.A.Heinrich, V.Stallbohm, M.Kowalczyk 31.08, J.Jaworski, P.Mularz A.Paulo 2.09	Krakowska Wyprawa w Karakorum – Batura 1983, kier. Władysław Wisz
Batura I(E)	7795, 7785	Z.A.Heinrich, P.Kubalski V.Stallbohm 13.07 godz. 7.20	Wyprawa Polskiego Klubu Górskiego na Baturę, 1988, kier. Piotr Młotecki

* Odnośniki dotyczą spisu literatury w „Taterniku” 1/2004 s. 36

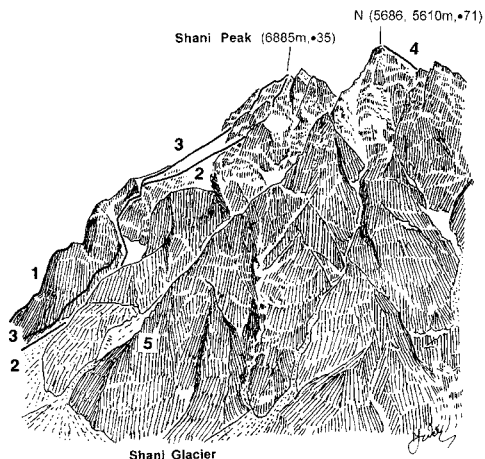
W lipcu 1994 roku grupa W. Sliwińskiego zwiedza dolinę Naltar Gah aż po przełęcz Phakor (4710 m) a potem dolinę Ultar Gah.

W 1997 roku, wzdłuż lodowca Batura aż po północne odgałęzienie Yoksugoz Ice Flow, doszli Marian Bała, Wojciech Kapturkiewicz i J. Konieczniak, przywożąc zdjęcia z tego terenu. Kapturkiewicz w 5 godzinnym wypadzie zwiedził do wysokości ok. 4300 m także boczną dolinę Warthum Nala, leżącą w sąsiedztwie z Lodowcem Batura grupie górskiej Lupghar Mountains.

Grupa górską Naltar Mountains

Dla wspinaczy wielkościanowych sugerować wypada przede wszystkim masyw Shani Peak, który pomimo zainteresowania świetnych wspinaczy, zwłaszcza angielskich, jeszcze nadal kryje wiele problemów, z których na czoło wysuwa się potężny 1600 m wysokości wschodni filar północnego wierzchołka (N, 5686 m). Duże możliwości są i na innych szczytach. Jak już pisałem, pozostaje do zdobycia środkowy wierzchołek (MD 5786 m).

Brak jakichkolwiek informacji o stronie pd.-wschodniej i południowej grani Twins, z możliwością wejścia z lodowców South Hayel Glacier i Sher Gah Glacier. Dla zainteresowanych eksploracją szczytów o wybitnie alpejskim charakterze, polecenia godne są niezdojdyte dotychczas Khaitar z trzema szczytami I (5591 m), II (5454 m) i III (5400 m), oraz sąsiednie szczyty i turnie a także wszystkie bez wejść szczyty poczynając od Chari Khand S (5725 m) aż po Merhbani (5680, 5639 m), co pokazuje rysunek na str. 6 w artykule topograficznym. W dostępnej literaturze nie ma wzmianki o jakichkolwiek próbach

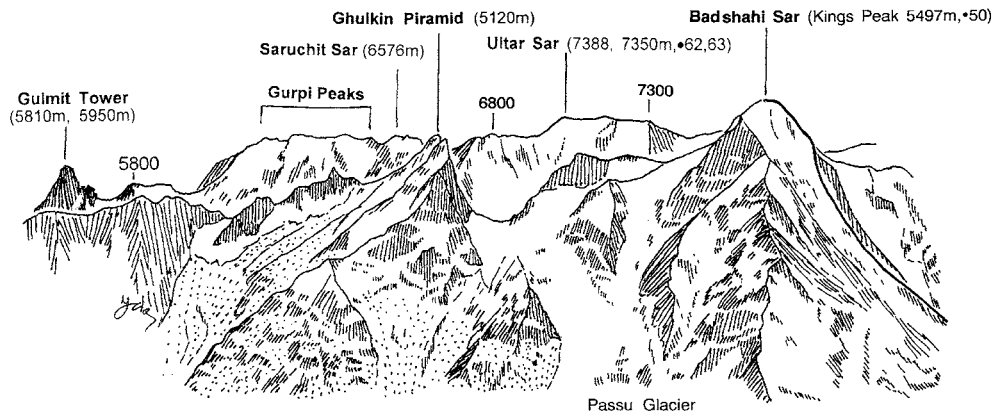


Potężny wschodni filar północnego wierzchołka Shani Peak (N. 5686 m) swoją rozległością przewyższa słynne urwiska Alp a dostęp do niego nie wymaga skomplikowanej wyprawy.

- 1 - próba w 1984 r.
 - 2 - wyprawa British Shani Expedition 1989 r. pod kier. P. Leeminga (43).
 - 3 - wyprawa holenderska pod kier. M. Reddeckera w 1999 r. (71).
 - 4 - wyprawa holenderska pod kier. M. Reddeckera w 1999 r. (71). Weszli Andreas Amous i Melvin Reddecker (Redeker).
 - 5 - wschodni filar
- Rys. J. Wala na podstawie zdjęcia z AAJ, AJ i Narty & Rower 5/94.

wejścia ze strony pn.-wschodniej, a więc od doliny Chaprot Nala.

Nie sądzę aby podawane w literaturze informacje były kompletne dla tego terenu, ale także naj-



Widok z Patundas, z drogi do bazy wyprawy 1974 r., ku południowi. Rys. J. Wala na podstawie zdjęć H. Bleichera i innych fotografii.

bliższe otoczenie Dumiał w Dolinie Naltar może nęcić wieloma pierwszymi wejściami. Oczywiście mniej wybitnych celów nie brakuje w otoczeniu tej doliny, więc każdy znajdzie tu pole do działania.

Dla poszukiwaczy terenu zupełnie nieznanego, nietkniętego przez alpinistów, pozostaje ciekawa południowo-zachodnia część tej grupy górskiej, w otoczeniu dolin Biahah Gah, Barhkai Gol, Mungal Gah i Shukar Gah a także w grzbiecie rozdzielającym doliny Baj Gaz Gol i Phakor Gol. Doliny te łączy ścieżka przechodząca przez przełęcz Kura An. Szczyty tu wprawdzie wg map nie przekraczają 5400 m, ale teren wygląda na dość interesujący (na podstawie zdjęć wykonanych wprawdzie z odległych miejsc i fotoplanu satelitarnego). Eksplorację trzeba prowadzić od strony Doliny Ishkuman, dostępnej drogą samochodową z Gilgit.

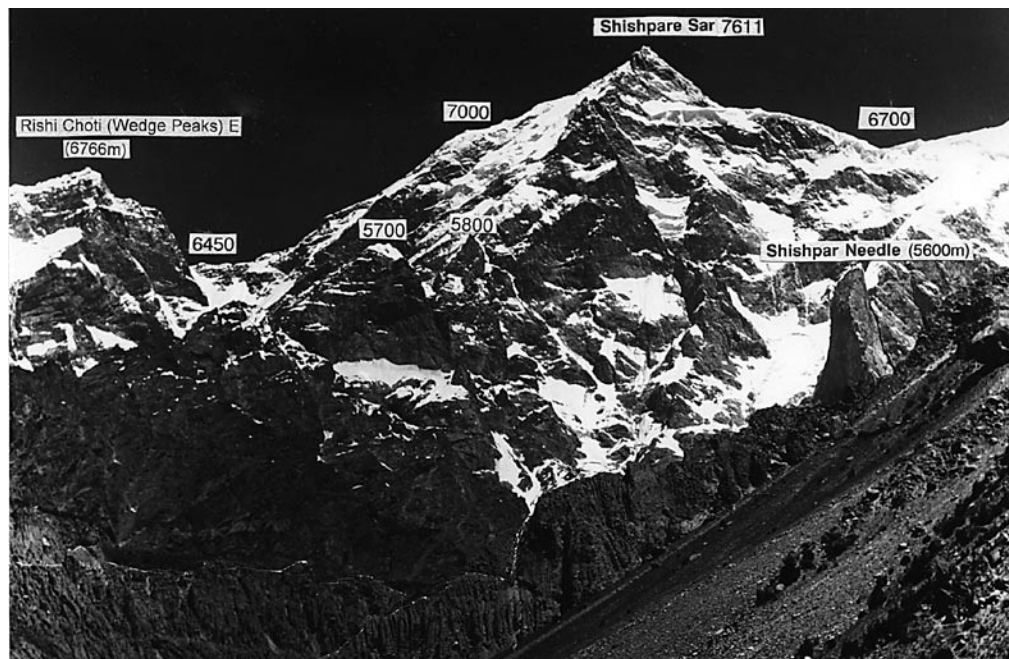
Grupa górską Batura Muztagh – część wschodnia.

Skupia najwyższe masywy i była najwcześniej eksplorowana. Zaczynając od wschodu, od rzeki Hunza, na czoło wysuwa się problem zdobycia Gulmit Tower (5950, 5810 m), omówiony obszernie w „Góry i Alpinizm” [lit. 22]. Gulmit Tower może być celem dla ambitniejszych wspinaczy,

którym odpowiada teren mieszany. Godne polecenia są tu także szczyty w grani Bulkish Ridge i dalej w graniach aż do Altit Peak (5210 m). Bliskość szosy Karakoram Highway a także wysokości (poniżej 5700 m) umożliwiają wspinaczkę w alpejskim stylu.

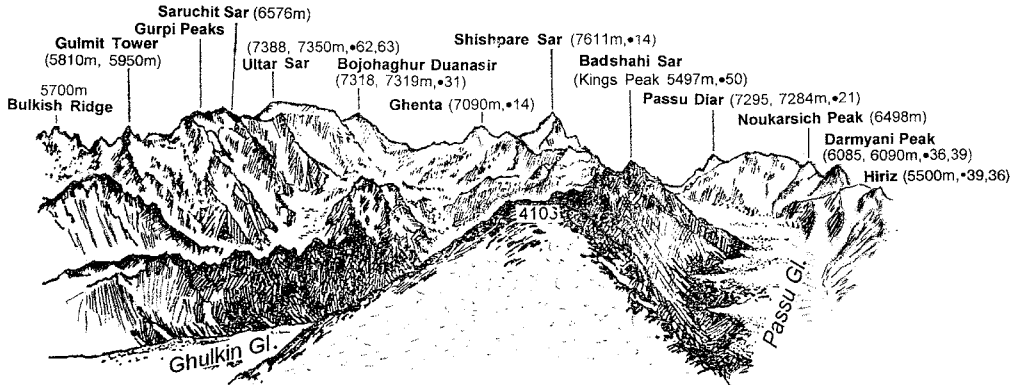
Bardzo atrakcyjne jest otoczenie kotła Lodowca Gurpi, lecz tutaj wejścia stwarzają już prawdziwie himalajskie problemy, z racji znacznych wysokości bezwzględnych i deniwelacji. Niełatwe jest też dojsię do bazy. Tu celem jest pd.-wschodnia flanką Ultar Sar (7388, 7350 m), pd. flanką Saruchit Sar (6576 m) i grani Gurpi Peaks (ok. 6500 m), a także Gulmit Tower. Strona północna tych szczytów jak już pisałem jest wyjątkowo trudno dostępna. Dla szukających małych skalnych problemów interesująca może być najeżona turniami grań rozdzielająca lodowce Ghulkin Gl. i Gulmit Yaz Gl. Wylot kotła Gurpi Glacier z obu stron otoczony jest wielkimi ścianami skalnymi, mogącymi być celem dla wspinaczy skalnych.

Na uwagę zasługuje Ghulkin Piramida (5120 m) nad lodowcem Passu a dla szukających łatwych wejść – wzniesienie 4105 m i nieco dalej 4335 m w grani rozdzielającej lodowce Passu i Ghulkin, skąd powinien być bardzo interesujący widok na otaczające szczyty. W otoczeniu



Fragment otoczenia Lodowca Shishpar. Widok na pd.-zach. flankę Shishpare Sar (7611 m) oraz obelisk skalny Shishpar Needle (5600 m) z okolicy zagrody pasterskiej Sumane Hasah (Khaltar Harai). Wysokosci na podstawie mapy DAV 1: 100 000. Fot. J. Wala, 1979.

Góry wysokie



Nieco zmodyfikowany i uaktualniony rysunek z książki J. Kurczaba [lit. 24], opr. J. Wala.

lodowca Passu dziewicze pozostają Rishi Choti (E, 6766 i W, 6714 m) oraz Noukarsich Peak (6498 m). Ze względu na mocno potrzaskany lodowiec Passu wymagają one większego zespołu wspinaczkowego, z zakładaniem przynajmniej jednego lub dwóch obozów przy dojściu.

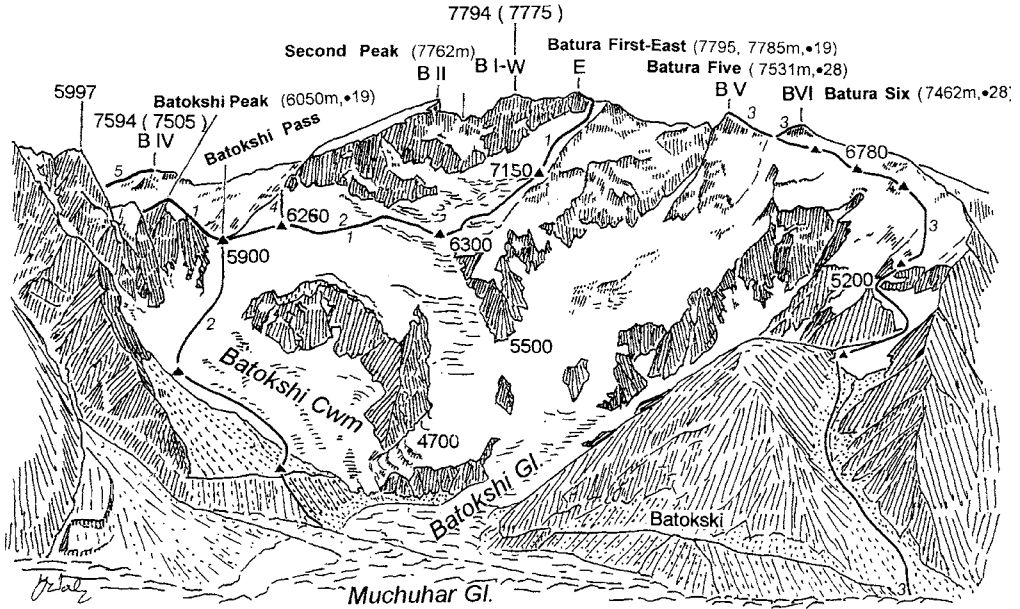
O siedmiotysięcznych szczytach nie będę tu wspominał. Zainteresowanie nimi jest oczywiste, a problemy ścianaowe z nimi związane bardzo trudne, skomplikowane i niebezpieczne. Dotyczy to również wejść ze strony lodowców Ultar, Shishpar, Batura, Shandar. Interesującym celem

wejścia może być turnia Shispar Needle (5600 m) z Lodowca Shishpar.

W odniesieniu do masywu Sangemarmar Sar (6990 m) najbardziej narzucającym się jest problem wejścia z Lodowca Tochi na pd.-wschodnią grań i nią na szczyt. Osiągnięcie wzniesienia 6200 m w tej grani od strony lodowca Shishpar wydaje się problemem trudniejszym i znacznie niebezpieczniejszym. Próby atakowania z lodowca Muchuhar, z bazy Shikhan Askurin (3900 m), załamywały się, ale mogą być jeszcze wznawiane.



Odpoczywające jaki na tle Batura First Ice Flow. W lewej części zdjęcia zza bariery lodowej wystaje wierzchołek Passu Diar (7295 m). Fot. M. Bała, 1997.



Południowa flanka Batura Wall nad Lodowcem Muchuhar. 1 - droga wyprawy niemieckiej 1976 r. pod kier. A. Schlee, 2 - droga wyprawy austriackiej pod kier. Koblmüllera w 1983 r., 3 - droga wyprawy krakowskiej 1983 r. pod kier. W. Wisza., 4 - próba wyprawy PKG pod kier. P. Młoteckiego w 1988 r., 5 - droga wyprawy japońskiej w 1978 r. pod kier. M. Nishigori. Rys. J. Wala na podstawie zdjęcia Z. A. Heinricha.

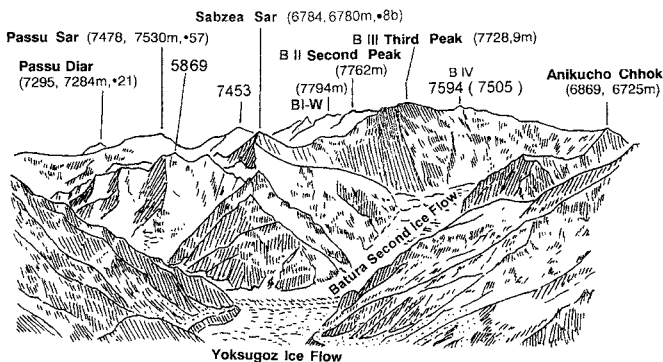
Blisko 3000 m wysoka pd.-zachodnia flanka Passu Sar (7478, 7530 m), pełna rozległych pól lodowo-śnieżnych, zagrożających lawinami, pewnie jeszcze długo pozostanie niezdobyta, podobnie jak północna strona. To samo trzeba powiedzieć o dziewiczym Muchu Chhish (7453, 7493 m), który próbowali zaatakować Hiszpanie, planując wejście od drogi polskiej na Batura VI (7462 m).

Oczywiście. najpoważniejszymi, niezrealizowanymi celami, nie tylko w Karakorum Zachodnim

ale obecnie w odniesieniu do całego Karakorum, są wejścia na Batura I (W, 7785, 7775 m), Batura II (7762 m) i Batura III (7729, 7710 m). Od południowego zachodu, z lodowców Muchuhar i Baltar bronią dostępu ściany skalne i strome pola śnieżno-lodowe, od wschodu – pocięty szczelinami i zagrożony lawinami, rozległy Batura First Ice Flow. Od północy – 2300 m wysoka ściana skalno-lodowa i trudno dostępny Batura Second Ice Flow. Znalazienie drogi i podjęcie wejść należy na pewno do największych problemów w Karakorum.

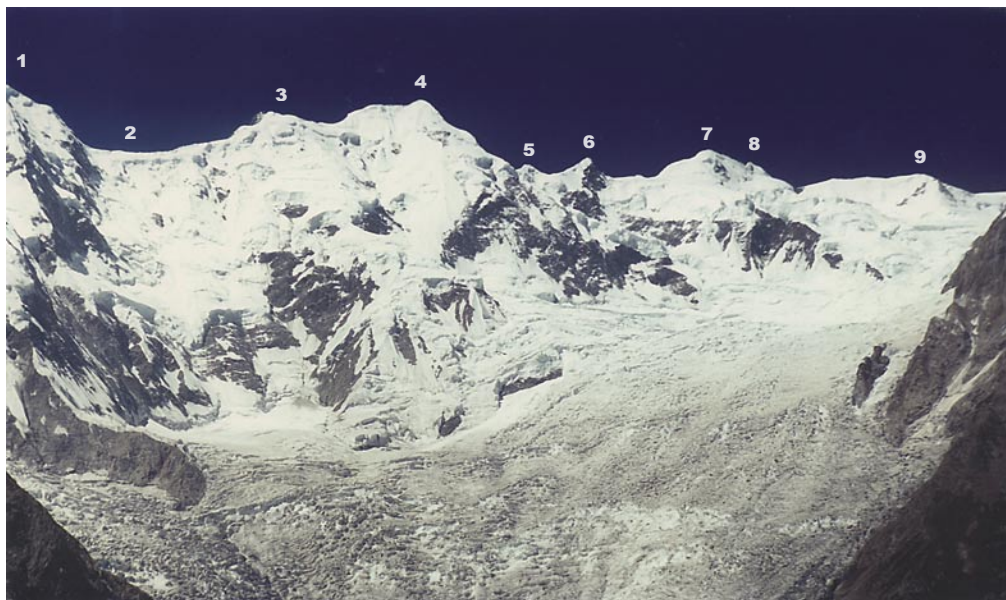
Interesującym celem samym sobie mogą być szczyty w otoczeniu Sarbzea Glaciera, atakowane z lodowca Batura.

Pozostają tu jeszcze dwa potężne masywy Beka Brakai Chhok z trzema wzniesieniami przekraczającymi 6800 m, dotąd nie atakowane, oraz Sani Pakkush (6952, 6885 m), zdobyty przez Niemców pn. granią z przełęczy Batura Col (Tilman Col, 5840 m), atakowany zachodnim filarem przez Anglików, którzy załamali się na wys. ok. 6000 m. Jego północna ściana z zawieszonymi ba-



Widok na pn. flankę Batura Wall.

Rys. J. Wala na podstawie zdjęć arch. Z. Kowalewskiego



Lodowo-skalny mur Batura Wall nadal pozostaje jednym z najważniejszych problemów eksploracyjnych w Karakorum. Na zdjęciu – potrzaskany lodowiec Batura First Ice Flow i szczyty otaczające go od południa: 1 – Passu Sar (7478, 7530 m); 2 – East Col (6831 m); 3 – wzniesienie w grani 7280, 7312 m; 4 – Muchu Chhish (7453, 7493 m); 5 – Batura Six (7462 m); 6 – Batura Five (7531, 7555 m); 7 – Batura First-East (7794, 7785 m); 8 – Batura First-West (7784, 7775 m, ?); 9 – Batura Second (7762, 7748 m). Fot. M. Bała, 1997.

rierami lodowymi wygląda zupełnie niedostępnie, wysoka na ponad 2400 m południowa ściana jest bardziej skalna i o skomplikowanej rzeźbie.

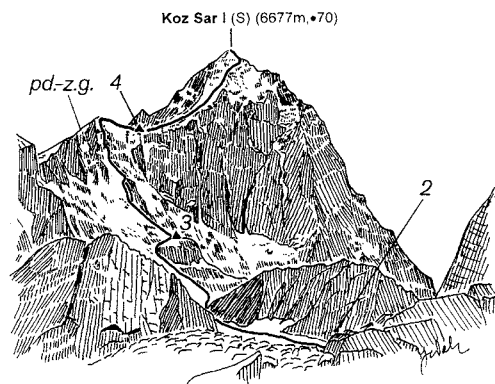
Godne polecenia są szczyty w graniach odbiegających od Beka Brakai Chhok i Sani Pakkush ku południowi, otaczające Lodowiec Toltar. Wysokości poza Dariyo Sar (6350 m) nie przekraczają 6000 m. Jest tu wiele możliwości wejścia

dla małych, ambitnych zespołów wspinaczkowych, działających stylem alpejskim.

Na szczególną uwagę zasługuje cały obszar pomiędzy lodowcami Muchuhar i Baltar oraz rzekami Hasanabad, Hunza, Bola Das i Tutu Uns (Bar Nala), w górze bocznych dolin, dający wszechstronne możliwości różnorodnego wspinania się, z wielką ilością szczytów niezdobitych. Najwyższym z nich jest Karim Sar (6180 m), który może być wartościowym celem dla małej wyprawy. Analizując mapę DAV 1:100 000, najdogodniejsze wejście na ten szczyt powinno prowadzić z lodowca Shilinar na północną grań i nią na szczyt.

Grupa górská Batura Muztagh – część zachodnia

Sprawa jest prosta. Wprawdzie zdobytych tu zostało kilka najwyższych szczytów jak Kampire Dior (7143 m), Seiri Porkush (6872 m), Pamri Sar (7016 m), Kampire Dior II (6572 m), Kuk Sar I (M 6943 m i S 6790 m) oraz Koz Sar I (S 6677 m) a także nieco niższe – Sax Sar (6240 m), Yeti Sar (6185 m) i Kutshkulin Sar (6074 m), w tym turnia Zod Khon Tower (6030 m), lecz jest to wszystko co dokonano w tej grupie górskiej liczącej przeszło 300 szczytów. Można więc powiedzieć, że teren ten to przede wszystkim domena pod-



Pd.-wschodnia flanka Koz Sar I (S. 6677 m) z zaznaczoną drogą wyprawy japońskiej pod kier. I. Yamagata w 1999 roku. (70). Rys. J. Wala na podstawie fotografii 2 [lit. 38].

stawowej eksploracji – pierwsze wejścia najłatwiejszymi drogami na dziewicze szczyty. Wejścia te jednak mogą się mieścić w całej skali trudności. Na czoło celów wysuwają się takie szczyty jak Yashkuk Sar I (6667 m), Koz Sar II (E 6628 m), Nadin Sar (6211 m), dwuwierzchołkowy Kukuar Sar (6286 m), Caboon Sar (6186 m), Kuk Sar II (6925 m), Kuk Sar III (6626 m) oraz Kuk Sar IV (6566 m). Ta grupa górską jest najbardziej interesująca dla alpinistów o dużych ambicjach sportowych i eksploracyjnych.

Żaden z wymienionych tu szczytów nie jest łatwy. Może jeszcze najłatwiej osiągalny byłby Nadin Sar (6211 m) od południa, po długim okrażeniu niezbyt łatwym do przebycia jeziorem Lodowca Koz Yaz. Dalej stromy język śniegu podprowadza aż pod sam wierzchołek. Stosunkowo łatwo osiągalny wydaje się Yashkuk Sar II z południa z North Karambar Glacier.

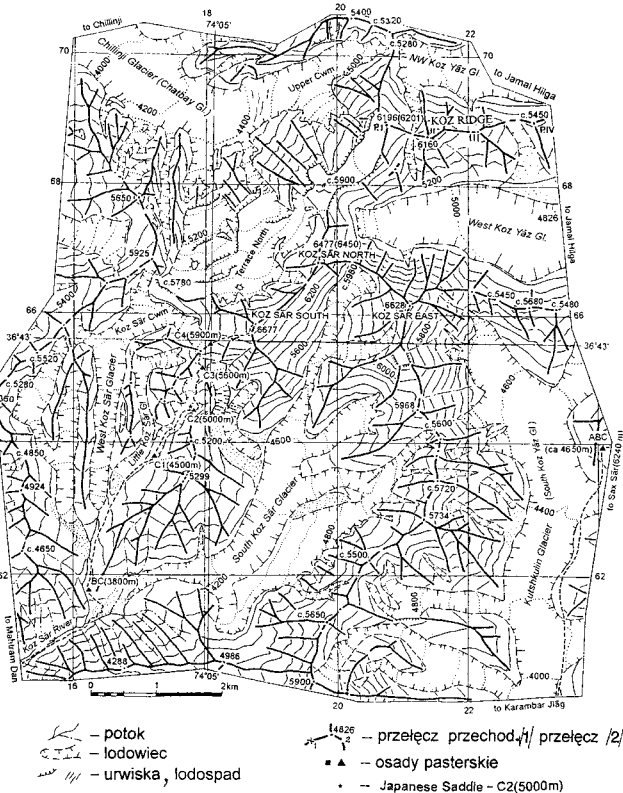
Godne polecenia w pierwszej kolejności są jeszcze takie szczyty, jak Chillinji Sar (6196, 6201 m) i jego bezpośredni sąsiad (6160 m) oraz potężny, rozłożysty masyw 5978, 6074 m, na który należałoby próbować wejść z lodowca Biatar (Bhuattar) Gl., lecz nie będą to łatwe cele.

Wreszcie warto tu wspomnieć o Lupsuk Sar (6169 m), który osiągalny byłby z południowej strony, z lodowca West Biatar Glacier, a także sąsiedni szczyt 6100 m. Mogę tylko zapewnić, że dla każdego znajdzie się tu odpowiednie zadanie. Ku północy szczyty te opadają potężnymi lodowymi ścianami.

Jeszcze warto zatrzymać się na jednym bardzo interesującym celu. Jest nim szczyt Soargar Sar (5900 m). Wyniosły, widoczny na panoramie na str. 25 w poprzednim n-rze „Taternika”. Powinien dać się zaatakować z Karambar Jlag, poprzez niewielki lodowiec karowy w południowych stokach, schodzących ku dolinie lodowca Karambar.

Grupa górską Purian Sar Mountains

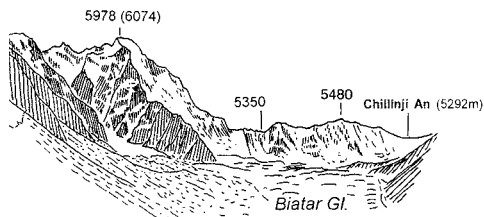
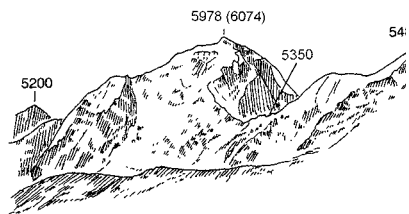
Grupa ta, podobnie jak poprzednia, pomimo mniejszych wysokości najwyższych szczytów, odznacza się pięknym krajobrazem alpejskim i stanowi obecnie przede wszystkim teren eksploracji,



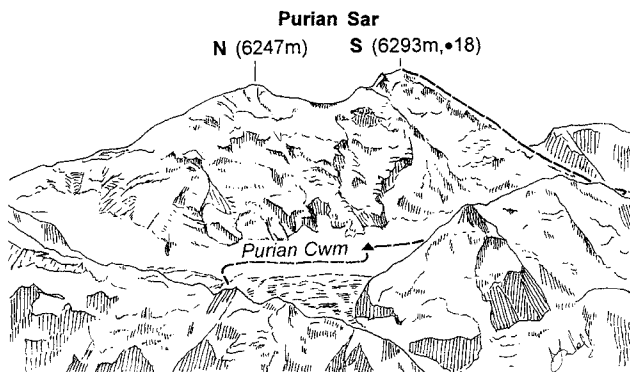
Otoczenie szczytów Koz Sar. Rys. J. Wala w 2001 r. na podstawie mapy radzieckiej ark.J.- 43 -113 skala 1: 100 000, i fotografii, [lit. 38]. Nazwy wprowadzone przez autora, część na podstawie literatury.

a więc dokonywania pierwszych wejść na szczyty. Na 168 wierzchołków zaznaczonych na mojej mapie orograficznej, zaledwie 5 zostało zdobytych.

Tu celem pierwszoplanowym będzie masyw Karambar Sar (6258 m) nad lodowcem Karambar. Trudno dostępny ze wszystkich stron. Znalezienie więc wejścia nie będzie sprawą prostą. Bori Dorkush (6033 m) najłatwiej osiągalny byłby z West Kukuar Glacier, o ile na przeszkodzie nie stanie pocięty szczelinami i serakami złodowaony kocioł i strome śnieżne stoki. Także interesującym celem jest północny wierzchołek Purian Sar (N, 6247 m), do którego dostępu broni pokryty płaszczem lodu teren zarówno od Bad Swat Glacier jak i od zachodu, z Satmaro Glacier. Szczególnie polecenia godne jest dokonanie pierwszych wejść na szczyt (6015 m), Swat Maras (6005 m) i dwuwierzchołkowy szczyt: M (5967 m) i S (5950 m) z North Satmaro Cwm. Ostatni z wymienionych odznacza się strzelistą sylwetką, z potężnym skalnym filarem, wysokim na 900 m.



Widok na szczyt 5978 (6074 m) od północy z czoła Lodowca Batiar. Rys. J. Wala na podstawie zdj. R. Schomberga (The Alpine Journal 1936 str. 295).



Purian Sar widoczny od północy z wrysowaną drogą japońską z 1975 roku. Kier. K. Enda (16). Rys. J. Wala na podstawie zdj. arch. W. Heichela.

Wspaniałe panoramy fotograficzne Cravino z rejonu przełęczy 5420 m w sąsiedztwie Aikache Chhok (6595 m), jak i z grani (4700 m) nad Toltar, w książce Miyamori i Karibe [lit.9], pokazują nieprzeciętne walory eksploracyjne tego terenu dla działalności małych zespołów. Teren można porównać do Alp w rejonie Mount Blanc czy Kaukazu, przy przesunięciu średniej wysokości o około 1000 m w górę.

O walorach terenu wokół lodowca Aldar Kush już pisałem w artykule topograficznym. Pierwsze wejścia w jego otoczeniu mogą być wartościowymi osiągnięciami.

Warto zwrócić uwagę na szczyty 5454 m, Piaro Amoh (5576 m) a szczególnie zwornik 5900 m – w grani rozdzielającej Dolinę Diantar od koryta lodowca Baj Gaz. Najwyższym wzniesieniem tej grani jest zdobyty już szczyt Bajgaz Sar (5961, 6067 m).

Do łatwiejszych problemów może należeć dokonanie wejścia na Khushroi Jerab Dest (5774 m) z Lodowca Bajgaz, zaśnieżonymi grzędami o nastromieniu około 30-40 stopni.

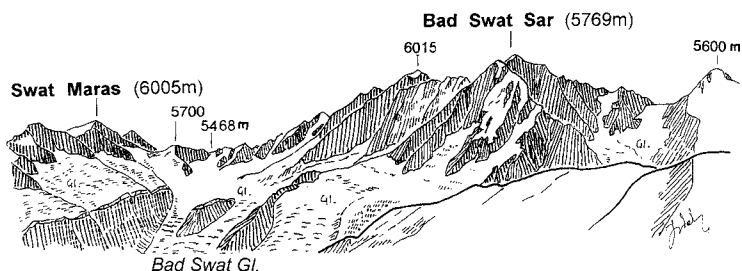
Wreszcie także warto zainteresować się rejonem szczytu Bad Swat Sar (5769 m), całkowicie dotychczas nie eksplorowanym a osiągalnym od pn.-zachodu, z miejscowości Bad Swat (2600 m) poprzez Lodowiec Bad Swat, oraz jego południową stronę od doliny Baj Gaz Gol, u której wylotu znajduje się miejscowość Imit.

Oczywiście nie brakuje tu możliwości rozwiązywania trudnych problemów sportowych, ale wydaje się, że na razie jest na to za wcześnie.

Grupa góraska Lupghar Mountains

Góry te są stosunkowo łatwo i szybko osiągalne od strony wschodniej i północnej, drogami przejezdnymi dla samochodów terenowych. Dłuższej marszrutę pieszej z tragarzami wymaga strona pd.-zachodnia, z Lodowca Batura.

W grzbiecie północnym na czoło wysuwa się podjęcie wejść na najwyższe szczyty Lupghar Sar (5820 m) i Kil Sar (5889 m). Celem pierwszoplanowym jest dokonanie wejść na najwyższe szczyty sześciotysięczne w rejonie Kuk-ki Jerab

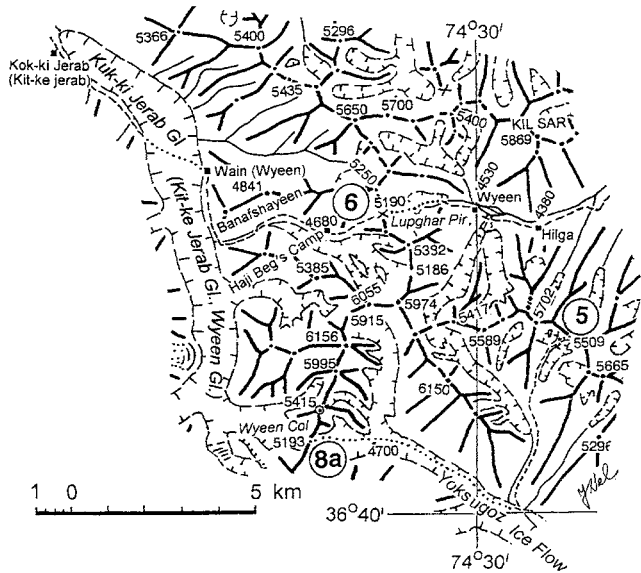


Otoczenie Lodowca Bad Swat, widziane z zachodu. Rys. J. Wala na podst. fot. R. Schomberga 1936 r.

Glacier, Banafshayeen Glacier i Yoksugoz Ice Flow, przede wszystkim na najwyższy szczyt 6156 m. Pokazuje ten teren rys. na str.35 w artykule topograficznym. Cel nie łatwy, ale możliwe, że byłby osiągalny zachodnią granią, z Lodowca Kuki-ki Jerab. Najtrudniejszym orzechem do zgryzienia może być skalny grzbiet z kulminacją 6150 m do którego podchodzić trzeba poprzez Yoksugoz Ice Flow.

Szczególnie godne polecenia są szczyty w otoczeniu Shelin Maidan Glacier, i to zarówno od strony tego jezera, jak i ze strony zewnętrznej, a więc z Lodowca Batura, od dolin Khaibar Nala, Kor Purian Nala, Kundi Nala. Wszystkie wymienione doliny podprowadzają pod najwyższe pięciotysięczniki, sięgające 5800 – 5900 m. Tutaj, jak już pisałem, na czoło wysuwają się szczyty End Peak (5807 m) oraz szczyty 5887 m i 5922 m, a także 5840 m, jeśli nie został osiągnięty przez wyprawę angielską pod kier. H. Irvine w 1990 r.

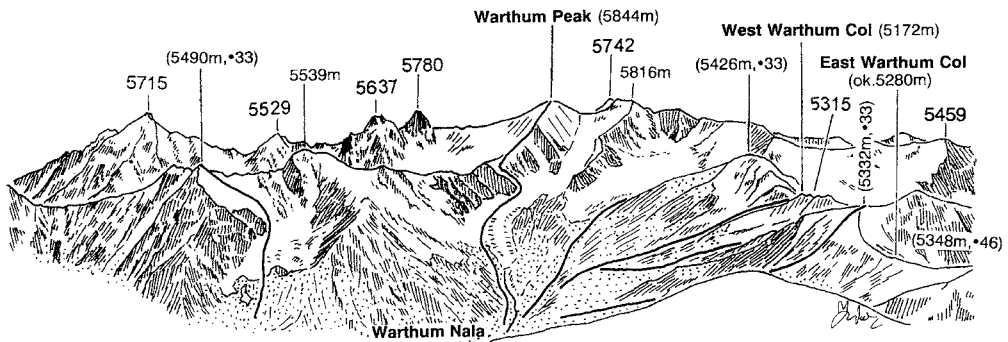
Również bliższe grupy szczytów nad doliną Hunza i w otoczeniu przełęczy Khair Tali (4474 m) mogą być całkiem interesujące ze swoim alpejskim wyglądem, na co wskazuje zdjęcie R. Schauera z drogi na Karun Koh (7164 m) w górach Ghujerab (na wschód od rzeki Hunza). Bardzo ciekawie na tym zdjęciu wygląda szczyt 5453 m. W tej grupie górskiej jest też sporo terenu stosunkowo łatwo dostępnego, szczególnie w górze doliny Warthum Nala, także od strony doliny Lupghar Nala oraz w północnym grzbiecie.



Fragment mapy orograficznej Lupghar Mountains do książki W. Heichela [lit. 43]. 5 - wejście zespołu z wyprawy P.C.Vissera w 1925 r., 6 - wejście wyprawy R.F.C. Schomberga w 1933 roku na Lupghar Pir i grani odbiegającą z przełęczy ku pd-wschodowi., 8a - Wejście K. Hecklera z tow. na przełęcz Wyeen Col i szczyt 5415 m w 1954 r. Uczestnik wyprawy DÖHKE, kier M. Rebitsch. Opr. J.Wala.

Zakończenie

Przez ten krótki opis chcę nieco przybliżyć omawiane góry i pokazać jak wiele jest jeszcze możliwości satysfakcjonujących pierwszych wejść w górach wysokich. Ale mało jeszcze mamy danych meteorologicznych, dotyczących tych gór, znajdujących się na pograniczu stref suchej i objętej oddziaływaniem monsunu. Trzeba brać pod uwagę załamanie pogody, jakie nie zagrażało w Hindukuszu Afgańskim. Są to góry znacznie wyższe niż Alpy, o specyficznych warunkach wysokogórskich, co potęguje zagrożenia.



Widok z Shelin Maidan Sar (5973 m) w kierunku zachodnim. Rys. J.Wala na podstawie zdjęć arch. W. Heichela

Zimą na Shisha Pangma

Piotr Morawski

Po zeszlorzecznej wyprawie na K2 pozostał spory niedosyt. Szczyt był daleko, jednak miałem wrażenie, że na wyciągnięcie ręki. W okolicach czerwca było jasne, że nie będzie kolejnej wyprawy w ten rejon, przynajmniej nie w tym roku. Zaczęliśmy szukać jakiegoś celu. Do wyboru mieliśmy oczywiście 7 niezdobych do tej pory zimą ośmiotysięczników. Wiedzieliśmy, że będzie mało funduszy i maksymalnie dwa miesiące. Nasz wzrok padł na leżącą na północ od Kathmandu, na pograniczu Nepalu i Chin, Shisha Pangmę. Najniższy z ośmiotysięczników (8027) do tej pory zimą był szturmowany tylko raz, kilka lat temu przez wyprawę słowacką. Jej uczestnicy ledwie przekroczyli barierę 6000 metrów.

Shishę można oblegać z dwóch stron. Od północy najbardziej popularna droga wiedzie łatwym terenem na wierzchołek centralny (8013). Niektórzy mówią, że wystarczą same kijki by się na nim znaleźć. Na ostrej grani z wierzchołka centralnego na główny (8027) otworzyła się potężna szczelina. Już same trudności grani odstraszały wielu wspinaczy planujących wejście na wyższy wierzchołek, szczelina zatrzymuje obecnie właściwie wszystkich. Strona południowa to potężna, stroma, ponad półtorakilometrowa ściana z niebezpiecznym wałem seraków ciągnących się wzdłuż całej jej długości w dolnych partiach. Latem jest pokryta grubą warstwą śniegu, dzięki któremu można szybko pokonywać wysokość. Zimą większa część ściany to skała i żywy lód. Większość dróg kończy się na łatwej, ale rozległej grani, na wysokości około 7600-7800 m., która wprowadza na wierzchołek główny.

Wybraliśmy południową stronę szczytu. Poza jej trudnością, która podwyższyłaby klasę ewentualnego wejścia, zdecydowały też walory praktyczne. Po pierwsze – drogi kończą się od razu na wierzchołku głównym, unikamy niebezpiecznej grani i szczeliny. Po drugie – karawana do południowej bazy jest o kilka dni krótsza niż pod północne zbocza.

Od początku wyprawa stała pod znakiem zapytania, głównie z powodów finansowych. Planowany początkowo na drugą połowę listopada, wylot przesunął się na początek grudnia. Z wyjazdu zrezygnował Krzysiek Wielicki. Zabrakło pieniędzy, żeby pojechał z nami Denis Urubko. Tydzień przed wylotem okazało się, że kolejna osoba nie może pojechać. Jaś Szulc, który zajmował się znajdowaniem funduszy oraz przejął obowiązki organizatora, nie dostał obiecanych środków... Trzeba było wykreślić kogoś z listy. Cztery dni przed wylotem dowiedziałem się, że

jednak wyprawa pojedzie i że pojedzie wraz z nią.

W samolocie do Kathmandu znalazło się nas czterech. Jaś Szulc, nasz organizator i kierownik, Darek Załuski, który oprócz wspinania miał zamiar kręcić film, Jacek Jawień i ja. W stolicy Nepalu dołączył do nas Włoch Simone Moro oraz dwóch Kanadyjczyków: Pierre Bergeron, uczestnik pierwszej zimowej wyprawy na K2, organizowanej przez Andrzeja Zawadę, oraz jego partner Yvon Lattreille. Wyglądało na to, że mamy 3 pełne zespoły do pracy. Zimą nie jest to wiele ale mieliśmy nadzieję, że tym razem wystarczy. Oprócz tego braliśmy ze sobą dwóch nepalskich kucharzy, Jagata i Dorjee.

Dzień w Kathmandu na robieniu zakupów, drugi na jeździe do granicznej miejscowości Kodari i przejściu przez granicę do chińskiego Zangmu. Trzeciego dnia jeepami dojechalśmy do Nyalam, tybetańskiego miasta położonego na wysokości około 3900 m. Na jego przedmieściach mieliśmy załadować nasze 2 tony bagażu na jaki, dalej w stronę Shishy nie da się już pojechać samochodem. W Nyalam Kanadyjczyków dopadła jakaś choroba, zaczęli brać antybiotyki. Nas też zaczynało boleć gardło, wdała się wysoka gorączka. W związku z tym zdecydowaliśmy opóźnić wymarsz karawany o 2 dni, wyleczyć się trochę i zaaklimatyzować. Dotarli do nas wieści, że południową ścianę Shishy od początku listopada atakuje dwóch Anglików. W Europie nic nie było o nich wiadomo, zorganizowali cichą wyprawę.

Karawana zebrała się poza miastem. Słońce nam dopisywało, wiatr był mroźny, ale niezbyt silny. Nasze beczki i paczki zostały załadowane i ruszyliśmy. W połowie pierwszego dnia Jacek ledwie doszedł na jeden z postojów. Miał wysoką temperaturę, kaszlał i był potwornie słaby. Zdecydowaliśmy, że zejście do Nyalam jeszcze na dwa, trzy dni i potem dołączy do nas w bazie. Żegnaliśmy go nie przypuszczając, że spotkamy się dopiero w dwa miesiące później, po powrocie do kraju.

Po dwóch dniach dotarliśmy nad skraj całkiem sporego, zamrożonego jeziora, nad którym w odległości widniała czerwona od promieni zachodzącego słońca Shisha Pangma. Po dwóch dniach urządził się wygodną bazę (wysokościomierz wskazywał około 5400 m). Niestety choroba złamała także Simone, który postanowił zejść do Kathmandu na



leczenie. Darek leżał w namiocie powalony prawie 40-stopniową gorączką, Kanadyjczycy jeszcze nie wyzdrowieli. Sytuacja powoli wydawała się beznadziejna. Anglikami okazali się Andy Parkin i Victor Saunders. Walczyli już ponad 40 dni i dotarli na około 6500, za kilka dni mieli zejść na dół. Widać, że byli zmęczeni samotną walką.

Mimo tego, kto mógł pracował dalej. Przygotowaliśmy bazę, posegregowaliśmy sprzęt, pocięliśmy liny, aklimatyzowaliśmy się na okolicznych morenach. Na 5700, u stóp Shishy, stanęła nasza baza wysunięta, która zaczęliśmy zaopatrywać. Droga do niej zajmowała około 4 godzin z pełnym plecakiem. Darkowi spadła gorączka, Pierre się trochę rozruszał. Wreszcie Simone powrócił z Kathmandu pełen energii i zdrów jak ryba. Niestety Jacek musiał wrócić do kraju, choroba rozłożyła go na dobre.

Okres przedświąteczny i przed Nowym Rokiem stał pod znakiem transportów, rekonesansów i pierwszych przymiarek do ściany. Okazało się też niestety, że na Kanadyjczyków nie za bardzo będziemy mogli liczyć. Yvon słabł z dnia na dzień, widać było, że wysokość i zimowe warunki mu nie służą. Pierre chciał coś prowadzić w ścianie i cały czas zastrzegał się, że on tragarzem nie jest i nie będzie nosił dodatkowo lin i prowiantu. W efekcie Kanadyjczycy nosili tylko swoje rzeczy, czasem zanieśli kilka lin do bazy wysuniętej... Cały wysiłek spadł właściwie na barki czterech osób: Simone i naszej polskiej trójki. Jagat, nasz kucharz, zaoferował się do pomocy i dzięki niemu sporo bagażu wywedrowało do bazy wysuniętej, a nawet do obozu pierwszego.

Zdecydowaliśmy się ostatecznie na atakowanie drogi hiszpańskiej. W osłabionym składzie raczej nie mogliśmy zrealizować naszych wcześniejszych

planów, czyli wytyczenia w ścianie nowej drogi. Projekt taki powstał bowiem w Kathmandu. Droga hiszpańska wiedzie prawą stroną ściany poprzez trzy wyraźne kuluary i potężne śnieżno-lodowe pole. Ma najkrótsze partie skalne ze wszystkich dróg na ścianie, a na dodatek wejście w nią jest całkiem proste. W dolnej partii ściany Shishy ciągnie się potężny wał seraków, które co pewien czas zasypują lodowiec potężnymi, lodowymi lawinami. Minusem tej drogi jest to, że wyprowadza na grań dosyć daleko od szczytu, bliżej jednak niż tzw. droga klasyczna (jugosłowiańska). Drogę hiszpańską zrobił w lecie 1995 roku Figueras z towarzyszymi. Od tamtej pory nie doczekała się powtórzenia. Sami Hiszpanie założyli obóz trzeci na grani, po wyjściu z trudności, i z tego obozu przeprowadzili nieudany atak szczytowy. Zatrzymali się poniżej 7800 mnpm.

W pierwszych dniach stycznia założyliśmy obóz pierwszy. Stał on na wysokości 6100 m, tuż na początku trudności. Droga do niego wiodła przez dosyć łatwy, ale bardzo niebezpieczny lodowiec. Około pół godziny szło się jak najszybciej po lodowym lawinisku, byle zdążyć przed serakową lawiną. Sam namiot stał na małej platformie pod wielkim serakiem, który co prawda chronił przed lecącymi kawałami lodu, jednak któregoś dnia mógł sam runąć. Było to jednak jedyne miejsce na obóz pierwszy i bez niego nie mielibyśmy szans na zdobycie ściany. Szczególnie, że już wtedy wiedzieliśmy, że praktycznie nie ma miejsca na dwójkę na całej drodze. Hiszpanie wykopali w śniegu jamę, ale my mieliśmy żywy lód, śniegu niewiele. Pierwsze mniej strome miejsce znajdowało się po wyjściu na grań...

Pierwsza połowa stycznia to mozołne poręczowanie. Sytuacja nie przedstawiała się za wesoło. W górze pracowaliśmy właściwie w trójkę, Simone,



Simone w miejscu, gdzie potem postawiliśmy „dwójkę” (7150 m).

Fot. P. Morawski

Darek i ja. Do jedyńki pomagał nam Jagat, trochę powyżej jedyńki chodził z transportami Jan. I to wszystko. Nie było drugiego zespołu do prowadzenia. Kiedy schodziliśmy na odpoczynek, ściana odpoczywała, mimo dobrej pogody. Wiedzieliśmy, że góra nie lubi przestojów, że kiedyś może się zemścić.

Powyżej jedyńki zawisło ponad półtora kilometra poręczówek i nic nie wskazywało na to, że w stromym lodzie znajdzie się jakieś miejsce na obóz drugi. 4 stycznia z Darkiem podjęliśmy pierwszą, nieudaną próbę założenia dwójki. Przekroczyliśmy 7000 m, wynieśliśmy namiot, śpiwory i prowiant,

jednak miejsca nie znaleźliśmy. Ostatecznie 5 dni później z Simone postawiliśmy namiot. Niestety mieliśmy tylko jedną karimatę, a spaliliśmy na platformie o szerokości około metra. Reszta namiotu wisiała na ścianie. Do dwójki prowadziło ponad 1700 metrów lin, a jej wysokość ocenialiśmy na 7150 m. Mimo tego rankiem położyłem 250 metrów lin powyżej namiotu. Nie było czasu na zastawienie tego do następnego wyjścia, trzeba było wyzyskać każdą okazję. Darek przyniósł z jedynek kolejne metry lin i prowiant. Powoli zarysowywały się plany szybkiego ataku szczytowego, podczas którego jeszcze mieliśmy poręczować. Rzecz spotykana latem, ale zupełnie niepraktyczna na zimą. Czas się jednak kurczył, nasze siły również.

Jak wynikało z prognoz pogody, które Simone regularnie otrzymywał z Innsbrucku, najlepszym dniem na atak szczytowy miał być 17 stycznia. Dzień później miało przyjść potężne załamanie pogody, jednak sam 17-ty, miał być cichym dniem, prędkość wiatru miała nie przekraczać 80 km/h. W pozostałe dni zazwyczaj wiatr wiał na grani dużo powyżej 100 km/h. 15-go stycznia wyruszyliśmy z Simone z bazy do jedynek. Dzień za nami szedł Darek i Pierre, jako druga dwójka atakująca. 16-go stycznia wczesnym popołudniem byliśmy w dwójkę, trochę się przespaliśmy i o północy wyruszyliśmy do góry. 250 metrów po poręczówkach, a potem poręczowanie. Mieliśmy na to wyniesionych wcześniej 400 metrów. Po godzinie pracy i położeniu połowy lin zdecydowaliśmy się na odwrót do namiotu. Wiatr i przenikliwie zimno skutecznie uniemożliwiała pracę. Jak się potem okazało tej nocy temperatura spadła poniżej -50°C , nie licząc oczywiście współczynnika chłodzenia wiatrem. O 6 rano podjęliśmy kolejną próbę. Kiedy położyliśmy resztkę lin, okazało się, że grań nie jest tak blisko, jak nam się wydawało. Jeszcze ponad 200 metrów do góry przeszliśmy z lotną asekuracją w ciężkim terenie. Z lotną, by zyskać na czasie, choć było kilka miejsc, gdzie powinniśmy asekurować się sztywno. Dopiero przed południem stanęliśmy na grani, w promieniach słońca i w silnym wietrze. Było dla nas jasne, że załamanie pogody przychodzi



- 0 - Pierwsze zimowe przejście południowej ściany (linia drogi hiszpańskiej), S. Moro, P. Morawski, 2004, do końca trudności, do około 7700; 1 - Loretan, Kurtyka, Troillet, 1990; 2 - droga koreańska, Par Jun Hun, Kang Yeon Ryoung, 2002; 3 - droga słoweńska, Kozjek i Štremfelj, 1989; 4 - droga brytyjska, Scott, McIntyre, Baxter-Jones, 1982; 5 - droga polska, Wielicki solo, 1993; 6 - droga hiszpańska, Figueras, Permañé 1995 (zakończona w pkt. B, bez szczytu); 7 - brytyjska droga zejściowa, 1982; 8 - droga słoweńska zwana „klasyczną”, zejście z drogi 3 zespołu Kozjek, Štremfelj, 1989
A - wierzchołek główny (niewidoczny, za granią) 8027
B - miejsce, do którego dotarli Hiszpanie w 1995 (niewidoczne, za granią)
C - miejsce odwrótu tegorocznej, zimowej wyprawy (niewidoczne, za granią). ok 7700

- I - obóz pierwszy 6100 (zimowa wyprawa)
II - obóz drugi 7150 (zimowa wyprawa)

wcześniej. Poza tym wyjście na grań nie oznaczało końca trudności. Jeszcze ze dwie godziny trawersowaliśmy w trudnym i „czujnym” terenie, zanim nie wylądowaliśmy u końca trudności, na łatwym plateau. Dochodziła godzina trzecia po południu. Byliśmy na 7700 m, a do szczytu zostało nam minimum 3 godziny marszu. Na szczycie bylibyśmy dopiero po zmroku i musielibyśmy biwakować gdzieś na grani... Zawróciliśmy.

Wiatr i mgła przyszyły rankiem następnego dnia. Nie było już sensu podejmować kolejnego ataku. Zwinęliśmy obozy i w porywistych podmuchach, zasypywani drobnym śniegiem, zeszliśmy do bazy. Dzień później ruszyliśmy z jakami do Nyalam. Z poczuciem, że jako pierwsi w zimie, mimo małego zespołu, pokonałszy całą południową ścianę, aż po koniec trudności, zrobiliśmy pierwsze powtórzenie ciekawej drogi, która w zimowych warunkach okazała się bardzo wymagająca. Sam szczyt nadal czeka na swojego zimowego zdobywcę.

Piotr Morawski
www.piotrmorawski.com

Kalendarz zawodów firmowanych przez PZA (od maja 2004)

15/16.05.2004	Puchar Polski – Lubin (D, S**), Kielich, ul. Pawie 39
22/23.05.2004	Mistrzostwa Polski Juniorów – Gdańsk (D, S), Długi Targ
12/13.06.2004	Puchar Polski – Białystok (B*), Ōsemka, ul. I Armii Wojska Polskiego 5
28/29.08.2004	Mistrzostwa Polski – Tarnów (B), Rynek
11/12.09.2004	Puchar Polski – Szczecin (D, S), Zamek Książąt Pomorskich, ul. Zamkowa 4
02/03.10.2004	Mistrzostwa Polski – Tarnów (D, S), Hala Sportowo – Widowiskowa, ul. Krupnicza 8a
16/17.10.2004	Puchar Polski Juniorów – Lublin (D, S), SP nr 28, ul. Radości 13
06/07.11.2004	Puchar Polski – Łódź (B), AKG, Centrum Kształcenia Ustawicznego, ul. Różyckiego 5
27/28.11.2004	Puchar Polski Juniorów – Tarnów (D, S), Hala Sportowo-Widowiskowa, ul. Krupnicza 8a
11/12.12.2004	Puchar Polski – Nowy Sącz*** (D, S), Hala Widowiskowo-Sportowa, ul. Nadbrzeżna 34

*) bouldering

***) trudność i czas

****) Zawody bez dofinansowania KWS PZA

Na „panelu” i w kamieniołomach

Arkadiusz Kamiński

Burza Muskuł (10.01.2004)

Pierwsze tegoroczne zawody wspinaczkowe rozegrane zostały w Warszawie. Miejszem zmagania była ściana w Środowiskowej Hali Sportowej. W zawodach udział wzięło 83 zawodników – 63 mężczyzn i 20 kobiet. W eliminacjach należało pokonać cztery przystawki, w tym trzy high ball'e. W finałach walczone z trzema problemami w systemie 5 minut wspinu na 5 minutu restu. Z problemami najlepiej sobie poradzili Renata Piszczek i Andrzej Mecherzyński Wiktor.

Kobiety: 1. Renata Piszczek, 2. Oliwia Bechyne, 3. Edyta Ropek.

Mężczyźni: 1. Andrzej Mecherzyński-Wiktor, 2. Marcin Wszolek, 3. Grzegorz Napora.

Info: Edyta Ropek

Rumski Klasyk

Druga edycja Pucharu Pomorza rozegrana została 17 stycznia 2004. W zmaganiach udział wzięły 72 osoby. Eliminacje to sześć problemów ułożonych przez Sebastiana Juźwiaka, na których pokonanie przeznaczono 4 godziny. Finały to dwa bouldery i jedna droga na trudność RP wszystko w czasie 30 minut. Zawody w kategorii seniorów wygrali Eliza Kugler i Andrzej Mecherzyński-Wiktor.

Info: zanik.pl

Puchar Szwecji

Zamorska podróż do naszych północnych sąsiadów okazała się trafnym wyborem dla dwójki

polskich zawodników. 31 stycznia 2004 w Karlskronie odbyła się 3 edycja Pucharu Szwecji, na której gościnnie wystartowała ekipa z polski. Startujący mieli do pokonania w eliminacjach 6 problemów w czasie 1 godziny. W finałach także 6 problemów, z tą tylko różnicą, że w systemie ICC czyli 6 minut wspinaczki na 6 minut odpoczynku. Wygrali reprezentanci Polski Eliza Kugler i Andrzej Mecherzyński-Wiktor.

Info: murki.pl

Zmagania na angielskiej ziemi

Nasz eksportowy zawodnik Grzegorz Karolak z Zanik Team Alpinus od końcówki zeszłego i początku tego roku z powodzeniem reprezentuje Polskę na wyspach. W każdej edycji zawodów rozgrywanych z cyklu „Southern Indoor Bouldering League” utrzymywał się w ścisłej czołówce.

I tak zaraz po swoim przejeździe, wystartował w drugiej edycji (14.XII.2003 Londyn) rozgrywanej w The Castle, bardzo dobrym startem wywalczył sobie trzecie miejsce. Na następnej, rozegranej w Mile End (11.I.2004 Londyn) zajął szóste miejsce. Czwarta edycja rozegrana na Brunel University (01.II.2004 Uxbridge) to powtórka z drugiej – znów trzecie miejsce. Tu również w konkurencji kobiet wygrała Polka Magda Terlecka! W ramach SIBiL rozegrane zostaną jeszcze dwie edycje.

Natomiast ukoronowaniem startów Grzegorza w Wielkiej Brytanii był znakomity występ na zawodach „Ford Ranger Bouldering Cup” w Lon-



Burza Muskuł. W akcji Andrzej Mecherzyński-Wiktor.

Fot. E. Ropek

don Business Design Centre (07/08.II.2004). Tutaj rozwinął skrzydła, wyteżył bułę i pokazał jak wspinają się Polacy, wygrywając zawody! Trzymamy kciuki za dalsze wyniki.

Info: Grzegorz Karolak

Szczegółowe wyniki i odsyłacze do stron angielskich na www.zanik.pl

Puchar Czech

Abadzikra Boulder Cup to nazwa pierwszej edycji Pucharu Czech w boulderingu, rozegranej 7 lutego 2004 w mieście Trinec, tuż koło granicy z Polską. W zawodach wystartowała kilkusobowa ekipa z Polski oraz goście ze Słowacji i Węgier. Z naszych zawodników najlepiej zaprezentowała się Edyta Ropek, zajmując trzecie miejsce. Tuż za nią była Oliwia Bechyně (4 miejsce) i Ania Jarek (7 miejsce). Wśród mężczyzn wspaniale walczył Marcin Wszolek, który po eliminacjach znalazł się na drugiej pozycji. Niestety w finałowej walce spadł na 10 miejsce, a za nim uplasował się Marcin Piesta.

Kobiety: 1. Věra Kotasová, 2. Saša Holková, 3. Edyta Ropek.

Mężczyźni: 1. Karel Černý, 2. Jakub Hlaváček, 3. Štěpán Neustupný, 10. Marcin Wszolek, 11. Marcin Piesta.

Info: Edyta Ropek, redpoint.pdi.pl

II Memoriał Bartka Olszańskiego

Ściany nieczynnego kamieniołomu na górze Wdźar po raz drugi stały się areną zmagania pasjonatów zimowej wspinaczki klasycznej – dry toolingu. 14 i 15 lutego na miejscu stawilo się 53 zawodników, w tym spora reprezentacja naszych południowych sąsiadów Słowaków. Zawody podzielone były na trzy etapy – eliminacje, półfinał i finał, rozgrywane osobno dla pań i panów. W każdym z nich do pokonania była jedna droga o odpowiedniej trudności. Wśród pań ze wspinaczką najlepiej poradziła sobie Alicja Paszczak z Warszawy, a wśród panów Grzegorz Bargiel. Oboje powtórzyli swój sukces z pierwszej edycji. Za wolę walki i wspaniałą postawę wyróżnieniem specjalnym odznaczony został Jaro Polaček ze Słowacji.

30 grudnia 2003 roku minęły dwa lata od tragicznej akcji ratunkowej TOPR pod Szpiglasową Przełęczą, w której zginął Bartek oraz Marek „Maja” Łabunowicz.

Kobiety:

1. Alicja Paszczak - KW Warszawa
2. Renata Hajnos - Zakopane, niezrzeszona
3. Lucja Šroba - Amphibian, Słowacja

Mężczyźni:

1. Grzegorz Bargiel - TKN Tatra Team/TOPR
2. Marek Kazior - Katowice, niezrzeszony
3. Łukasz Müller - KW Katowice

Info: wspinanie.pl (Grzegorz Mikowski)

III edycja Pucharu Pomorza

Trzecie z kolei zmagania w pucharze Pomorza miały miejsce 21 lutego na Koszalińskiej „skalce” w Galerii Emka. W zawodach udział wzięło 19 mężczyzn, 6 kobiet oraz 18 juniorów startujących w trzech kategoriach. Wśród seniorów wygrali: dobrze zapowiadająca się młoda zawodniczka z Warszawy, Katarzyna Jurek oraz krakowianin Andrzej Mecherzyński-Wiktor.

Info: murki.pl

Puchar Słowacji w boulderingu

W sobotę 28 lutego na ściankach centrum wspinaczkowego K-2 w Żilinie rozegrano zawody boulderowe z cyklu o puchar Słowacji. W eliminacjach zawodnicy mieli do pokonania pięć problemów, w finale cztery. W zawodach wystartowała sześć osobowa ekipa z polski. Najlepiej wypadł Marcin Wszolek, który zajął czwarte miejsce. Jego klubowy kolega Łukasz Müller był jedenasty. Trzeci z Polaków Wojciech Jendrejczyk uplasował się na 32 pozycji. W kategorii kobiet najlepiej poszło Edycie Ropek,

Wspinaczka sportowa

która wywalczyła szóste miejsce. Na ósmej pozycji znalazła się Oliwia Bechyne, a na dziesiątej Ania Jarek. W zawodach udział wzięło 54 mężczyzn, 14 kobiet oraz 9 juniorów.

Puchar Polski w boulderingu

W dniach 13 – 14 marca w Toruniu rozegrana została pierwsza tegoroczna edycja Pucharu Polski w boulderingu. W zawodach udział wzięło 41 zawodników i 15 zawodniczek. Zmagania odbywały się na bardzo dobrze skonstruowanej pod tego typu imprezy, ścianie wspinaczkowej tworzącej tzw. „grzyb” na którego czterech bokach ułożone zostały problemy a w jego wnętrzu znajdowała się przejściowa strefa izolacji. Takie rozwiązanie z pewnością podniosło widowiskowość imprezy, która toczyła się w samym centrum otaczającej ze wszystkich stron publiczności. Dlatego też gratulacje w pierwszej kolejności należą się organizatorom za wspaniałe przygotowanie imprezy. Łukasz Müller - Mulle i Cezary Modrzejewski przygotowali wspaniałe przystawki, zadbał o prawidłowy przebieg zawodów, stając na wysokości postawionego przed nimi zadania. Przejdźmy jednak do samych zawodów, Eliminacje wyłoniły ścisłą polską czołówkę, której zmagania na bardzo wysokim poziomie oglądała z napięciem licznie przybyła publiczność. Bardzo



Lukasz Dudek podczas PP w Toruniu. Fot. A. Kamiński

wyrównana walka pań, na jakże różniących się od siebie problemach w znakomity sposób ujawniła predyspozycje i umiejętności zawodniczek, którym jedne bouldery bardziej pasowały, a drugie mniej! Tak wyłoniona została zwyciężczyni Kinga Ociepka, przed Oliwią Bechyne i Eliza Kupler. Zmagania panów były równie emocjonujące, a napięcie i oczekiwanie na ostateczny wynik trwało do ostatniej sekundy. To za sprawą dwóch zawodników, którzy zawładnęli imprezą, Andrzeja Mecherzyńskiego i Marcina Wszółka. Ostateczne starcie z czwartym problemem, utrzymanie topu w ostatniej sekundzie zdecydowało o tym, że po bardzo wyrównanej walce wygrał Marcin. Gratulacje należą się również Michałowi Zrzelskiemu, który wywalczył trzecie miejsce.

BoulderFest 2.0

W Lublinie 20 i 21 marca rozegrano towarzyskie zawody BoulderFest. Przyciągnęły one sporą grupę zawodników z różnych części kraju, a nawet gości z Lwowa. W eliminacjach wszyscy zawodnicy podzieleni na trzy grupy „bawili się” na dwunastu problemach, na których pokonanie mieli 2 godziny. Po sytym i obfitym wspinaniu nastąpiła wieczorna integracja. Kolejnego dnia organizatorzy przygotowali trzy długie i wymagające problemy, osobne dla pań i panów. W wyrównanej walce kobiet wygrała Renata Piszczek, zaraz za nią była Edyta Ropek oraz Oliwia Bechyne. W kategorii mężczyzn najwięcej „urobił” Aleksander Klem, zaraz za nim był niejaki Muppet, oraz Jakub Ziółkowski.

Puchar Polski w Gliwicach

Pierwsza tegoroczna edycja pucharu w konkurencjach na trudności i na czas, tradycyjnie zagościła 27 marca w Gliwicach. Zawody zyskały formułę międzynarodową za sprawą gości z obwodu Kaliningradzkiego – państwa Douloubów.



Puchar Polski w boulderingu. Wspina się Edyta Ropek. Fot. A. Kamiński

Sobotnie zmagania w obu konkurencjach wyłoniły finalistów, którzy dnia następnego walczyli o miejsca na podium. I tak w konkurencji na trudność, jak było można przewidzieć tryumfowała wybijających się spośród innych, dwójka zawodników: Kinga Ociepka, która w pięknym stylu ukończyła drogę finałową, oraz Jourij Doulob, który idąc „na skróty” po prostu przyłożył niesamowitymi patentami wymagający dach, spadając na przewieszanej płycie tuż przed topem. Sporym zaskoczeniem dla niektórych okazało się wywalczenie drugiego miejsca przez Edytę Ropek, która po eliminacyjnych problemach, wspaniale zawalczyła w finale. Wśród panów super klasę polskiego wspinania zaprezentował Marcin Wszolek, który po dość długim odpoczynku przed wejściem na dach, poradził sobie bardzo dobrze z wymagającą linią przechwytywów, dochodząc najdalej z Polaków. Trzecie pozycje zajęli Eliza Kugler i Łukasz Dudek.

W konkurencji wspinaczki na czas w kategorii kobiet nie było niespodzianek – tryumfowała Edyta Ropek, której czasy na poszczególnych drogach znacząco odbiegały od czasów kolejnych pań – Katarzyny Jurek i Agaty Wiśniewskiej. Wśród panów mogliśmy zobaczyć emocjonującą walkę pomiędzy czwórką najlepszych polskich biegaczy. I tak poszczególne biegi wyłoniły dwie dwójki walczące o pierwsze i trzecie miejsce. Łukasz Müller kontra Łukasz Smagała oraz Marcin Wszolek kontra Andrzej Mecherzyński – Wiktor. W walce o trzecie miejsce znacząco wygrał Łukasz Müller, natomiast w bardzo wyrównanej walce o pierwsze miejsce po zaciętych biegach, lepszy okazał się Marcin Wszolek. Sędzią głównym zawodów oraz mistrzem kompozycji dróg był Jakub Rozbicki, któremu należą się gratulacje za wspaniale przygotowane linie.

Arkadiusz Kamiński

Najlepsi w lodzie i mikście

Ouray Ice Festival'2004

Te najważniejsze na zachodniej półkuli zawody we wspinaczce lodowej i mikstowej rozegrano w dniach 17 i 18 stycznia 2004 r. w Ouray (Colorado). Startowało 9 kobiet i 15 mężczyzn. Pod nieobecność zwycięzcy z lat poprzednich, naszego rodaka Rafała Sławińskiego, zawody zostały zdominowane przez Europejczyków. W tym roku trzeba było stawić czoło wytrzymałościowej drodze o trudnościach M9/M10. Jedynie Szwajcarowi Simonowi Anthamattenowi i Niemce Ines Papert udało się pokonać ją całą. Niewiele brakowało by Ines Papert wygrała całe zawody, bowiem w klasyfikacji generalnej zajęła 2 miejsce (!).

Wyniki

Kobiety

1. Ines Papert (Niemcy)
2. Abby Watkins (Australia)
3. Kim Csizmazia (USA)

Mężczyźni

1. Simon Anthamatten (Szwajcaria)
2. Stephane Husson (Francja)
3. Aljaz Anderjle (Słowenia)

Mistrzostwa Świata we wspinaczce lodowej

Zaledwie w kilka dni po zakończeniu Ouray Ice Festival, w dniach 22 – 24 stycznia 2004, w szwajcarskim kurorcie Sass Fee, na sztucznej kaskadzie lodowej, zamrożonej wewnątrz wielopiętrowego garażu, odbyły się Mistrzostwa

Świata we wspinaczce lodowej. Rangę mistrzostw podnosił fakt, że w tym sezonie nie rozgrywano zawodów o Puchar Świata. Zdażyli na czas i wystartowali najlepsi w Ouray – Ines Papert i Simon Anthamatten. Fenomenalna Papert i tu nie dała szans rywalkom, zdecydowanie zwyciężając w konkurencji na trudność. Wśród mężczyzn, w tej samej konkurencji, triumfował Austriak Harald Berger (nie startował w Ouray), zaś Anthamatten zakończył rywalizację na 7 pozycji. W konkurencje szybkościowych wszystkie miejsca medalowe zajęli Rosjanie.

Wyniki

Kobiety – trudność

1. Ines Papert (Niemcy)
2. Natalia Kulikowa (Rosja)
3. Kirsten Buchmann (Niemcy)

Mężczyźni – trudność

1. Harald „Harry” Berger (Austria)
2. Jewgienij Kriwoszejcew (Ukraina)
3. Samuel Anthamatten (Szwajcaria)

Kobiety – czas

1. Natalia Kulikowa (Rosja)
2. Maria Filipowa (Rosja)
3. Julia Olejnikowa (Rosja)

Mężczyźni – czas

1. Aleksandr Matwiejew (Rosja)
2. Nikołaj Szwed (Rosja)
3. Igor Fajaulin (Rosja)

(Red.)

Info: www.ourayicefestival.com www.uiaa.ch

Odkryć w Jaskini Małej w Mułowej ciąg dalszy...

Marek Lorczyk

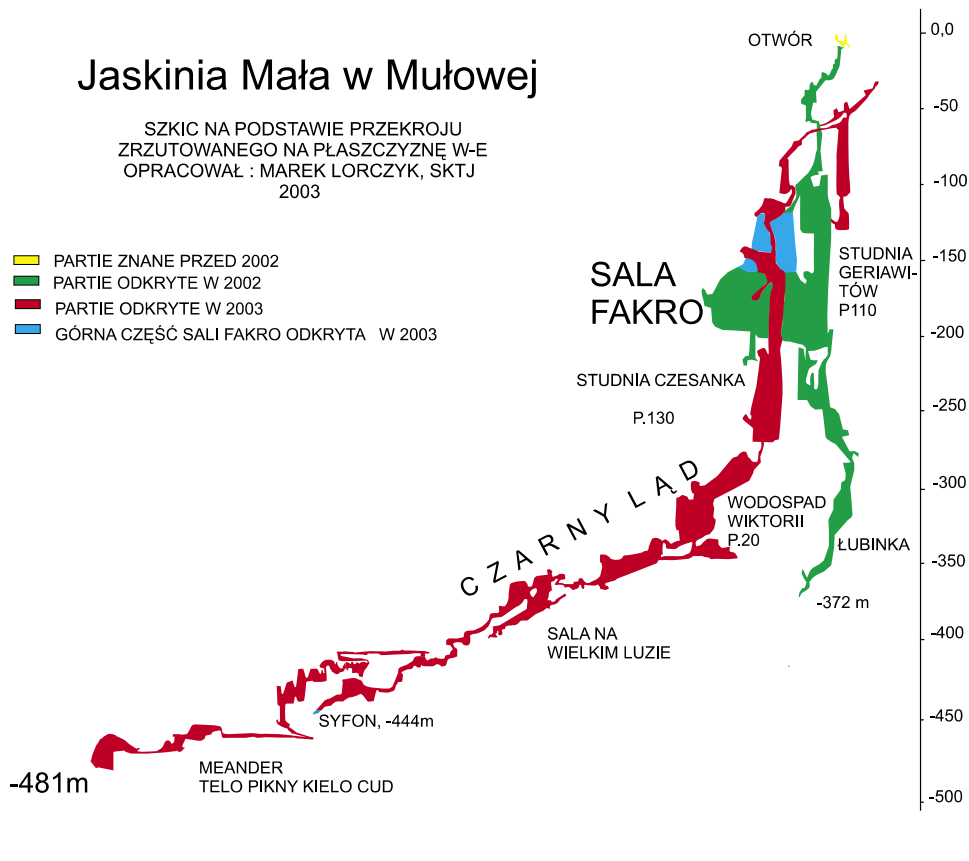
29 listopada 2003 roku grotolazi z Sudeckiego Klubu Taternictwa Jaskiniowego PTTK znów weszli do Jaskini Małej w Mułowej (o jej odkryciu i wcześniejszej eksploracji czytaj teksty Anny Antkiewicz: „Taternik” nr 1-2/2003 s. 70-72 i nr 3-4/2003 s. 44-45). Tym razem między innymi po to, by wreszcie zrobić zdjęcia. Statystów było wielu, pomysłów na zdjęcia też. Prezesa klubu (Anna Antkiewicz) jakoś nad tym zapanowała, ale zdjęcia i tak nie wyszły. Powiodło się za to tym, co poszli szukać – przewidywanego już w „Taterniku” 3-4/2003 – obejścia Syfonu Sądceczaków (-444 m), kończącego wówczas jaskinię. Paweł Wańczyk, Piotr Floryan i Czesław Zabrzeński przetraversowali do wypatrzonego wcześniej

okna i... puściło. Jak się później okazało, grotolazi dotarli wtedy do głębokości ok. 490 m. Ponieważ od otworu do “przodka” zrobiło się już daleko, zapadła decyzja o zorganizowaniu biwaku. Został on założony, po sylwestrowych szaleństwach, w Korytarzu Słoni na głębokości około 350 m. W dniach 3-5 stycznia 2004 r. przebywali tam Anka Antkiewicz, Czesław Zabrzeński, Paweł Wańczyk, Piotr Floryan i Wojciech Skoczeń. Działając w dwóch zespołach poprawili oni oporęczowanie w odkrytych poprzednio ciągach i wykonali pomiary, ale jeszcze nie w całości. Po ich przeliczeniu okazało się, że koniec ciągu pomiarowego leży na głębokości 481 m, a ciąg ten, licząc od I Katarakty, ma 500 m długości.

Jaskinia Mała w Mułowej

SZKIC NA PODSTAWIE PRZEKROJU
ZRZUTOWANEGO NA PŁASZCZYZNĘ W-E
OPRACOWAŁ : MAREK LORCZYK, SKTJ
2003

- PARTIE ZNANE PRZED 2002
- PARTIE ODKRYTE W 2002
- PARTIE ODKRYTE W 2003
- GÓRNA CZĘŚĆ SALI FAKRO ODKRYTA W 2003



Na doprowadzenie pomiarów do „przodka” z 29 listopada zabrakło czasu i sił. Podjęto natomiast dalszą eksplorację, w wyniku której znana głębokość Jaskini Małej w Mułowej na pewno już przekroczyła 500 m. O ile? Okaże się po splanowaniu tego fragmentu jaskini. Jaskinia się ciągnie dalej, ale, z braku sprzętu, zespół eksploracyjny zatrzymał się nad dwumetrowym progiem w meandrze szerokim na 60-70 cm i wysokim na 6-7 m. W ciągu tym znajduje się jeden z piękniejszych meandrów jaskiniowych – stąd jego nazwa „Telo Pikny Kielo Cud”. Na przełomie stycznia i lute-

go planowany był kolejny biwak w tej jaskini. Góry pokazały jednak swą potęgę. 28 stycznia 2004 roku Małą Świstówką zesłała lawina, która zabrała nam naszych przyjaciół, gdy przygotowawali dojście do tej jaskini. Wśród nich była Anka Antkiewicz, Prezes naszego klubu, a zarazem kierowniczka eksploracji Jaskini Małej w Mułowej. Będziemy kontynuowali to co zaczęliśmy wspólnie z nią. I mamy nadzieję, że jeszcze nie raz będziemy mogli pisać o kolejnych odkrytych fragmentach tej jaskini.

Nowy rekord głębokości jaskini tatrzańskiej

Wojciech W. Wiśniewski

O ile od XIX wieku wiadomo, że najwyższym szczytem Polski są Rysy, a ich wysokość wynosi 2499 m, o tyle wielkość najgłębszej naszej jaskini jest wciąż wielką niewiadomą. W wyniku kolejnych odkryć, co pewien czas dochodzi do jej zmiany. Od września 1959 r. najgłębszą jaskinią Polski oraz całych Tatr jest Jaskinia Wielka Śnieżna (pierwotnie Śnieżna), osiągnięto w niej wtedy głębokość 370 m, czym zdystansowała ona wcześniejszą rekordzistkę – Jaskinię Miętusią, wówczas głębokości 213 m. Śnieżna była pierwszą w Polsce jaskinią, a 8 na świecie, w której przekroczono granicę 500 metrów głębokości. Jako pierwszy dokonał tego zespół Janusz Onyszkiewicz i Władysław Palider osiągnąjąc w sierpniu 1960 r. głębokość -564 m. Po przyłączeniu – w 1968 r. – do Śnieżnej, Jaskini nad Kotlinami, głębokość jaskini powiększyła się do 742 m. Dalszy wzrost głębokości przyniosły nurkowania w syfonach końcowych jaskini, w 1974 r. do -756 m, w 1981 -786 m, w 1983 -772 m i 1985 -776 m. 2.01.1996 r. do Wielkiej Śnieżnej przyłączono dotychczas oddzielną Jaskinię Wielką Litworową. Dało to Wielkiej Śnieżnej deniwelację 814 metrów (-807 m, +7 m). Do symbolicznych zmian (po 1 metrze w głębokości i wysokości jaskini) doszło w wyniku nurkowania w syfonie na dnie jaskini w styczniu 1999 r. i następnie po odkryciu w maju 2001 r. niewielkiego przedłużenia w Partiach Wielkanocnych. W drugiej połowie listopada 2003 r. znana deniwelacja Jaskini Wielkiej Śnieżnej wzrosła do 824 metrów (zob. notatka poniżej). Taka wielkość

daje naszej rekordzistce ok. 140 miejsce na liście najgłębszych jaskiń świata.

Jaskinia Wielka Śnieżna znajduje się we wnętrzu masywu Małolączniaka. Od 1959 r. jest ona najgłębszą jaskinią nie tylko Polski i całych Tatr, ale na całej przestrzeni między Alpami a Kaukazem. Od 1995 r. jest ona też najdłuższą jaskinią jaką znamy w Polsce. Łączna długość zbadanych w niej korytarzy przekracza już 22,5 km, a jej rozciągłość (czyli odległość między w rzucie między skrajnymi znanymi punktami jaskini) wynosi ok. 1050 m (jest druga pod tym względem w Polsce – po Jaskini Miętusiej, a trzecią w całych Tatrach). Jest to bardzo rozbudowana jaskinia o rozwinięciu pionowym, którą tworzy 8 dużych ciągów stromo nachylonych korytarzy i studni (mających do 102 m głębokości), z których 6 (o deniwelacji 250-500 m) łączy się na poziomie ok. 1400 m n.p.m., a pozostałe 2 (w tym prowadzący od najwyższego otworu) dołączają ok. 200 m niżej. Jaskinia ma obecnie już 5 otworów, 4 z nich położone są w górnej części Doliny Małej Łąki (na wysokości 1672 m, 1701 m – główny, 1852 m i 1875 m), a piąty znajduje się po drugiej stronie grzbietu Małolączniaka, w Dolinie Litworowej na wysokości 1906 m. Jest to jedyna jaskinia w Tatrach w której można przejść pod ziemią między dwoma walnymi dolinami – Małej Łąki i Kościeliskiej. W ciągu za otworem Śnieżna, do głębokości ok. 75 m, stale zalegają duże ilości śniegu i lodu, niekiedy blokujące wejście do jaskini także latem.

Wielka Śnieżna to jaskinia krasowa utworzona głównie w wapieniach triasu i jury. Powstała w plejstocenie przy udziale wód pochodzących z topniejących lodowców, które wypełniały wówczas doliny tatrzańskie. Obecnie stanowi drogę odpływu wód opadowych z masywu Małołączniaka i górnej części Doliny Małej Łąki, co sprawia że zlewnia podziemna Potoku Kościeliskiego jest znacznie większa od powierzchniowej. Potok płynący głównym ciągiem jaskini, gdzie tworzy kilka wodospadów, jeziora i syfony, na powierzchni wypływa 124 metry niżej w odległym w linii prostej o ok. 4,5 km znanym dobrze turystom i licznie odwiedzanym Lodowym Źródle wielkim wywierzysku położonym w środkowej części Doliny Kościeliskiej. Z jaskinią związana jest ciekawostka hydrologiczna. Wody z Doliny Litworowej zamiast płynąc bezpośrednio w kierunku miejsca wypływu, płyną pod ziemią najpierw na wschód, pod dno Doliny Małej Łąki, a dopiero potem, zataczając tam potężny łuk, płyną z powrotem na zachód, ku wywierzysku.

Wielka Jaskinia Śnieżna jest częścią ogromnego systemu jaskiniowego Lodowego Źródła,

Wielka Śnieżna – 824 metry deniwelacji

Już trzeci rok z rzędu zorganizowałem późną jesienią biwak eksploracyjny w Jaskini Wielkiej Śnieżnej. Odbył się on w dniach 14-18.11.2003 r. Tym razem głównym celem była niewielka pochylnia w Partiach Wielkanocnych, wznosząca się do najwyższego miejsca znanego w jaskini na wysokość +8 metrów (do maja 2001 r. była ona dostępna do poziomu +7 m) ponad otwór jaskini i czekająca na eksplorację od 2001 roku. Po kilku godzinach przekopywania deniwelację tego korytarza ustalono na +9,5 m. Dalszą eksplorację utrudnia konfiguracja terenu. Pochylnia przechodzi tam w pionowy kominiek wypełniony namuliskiem, które eksploratorowi sypie się na głowę. W takiej sytuacji przenieśliśmy się z eksploracją w drugie miejsce - do kominika wznoszącego się na wysokość +6 m. Po zrzuceniu sporej ilości want utworzyło się tam wejście do ładnie mytego korytarza o długości 25 metrów i przechodzącego ponad znanymi już partiami. Korytarz ten w najwyższym punkcie (na wysokości +16 m ponad otworem jaskini) ma połączenie głosowe ze Szczeliną nad Wielką Litworową - niewielką jaskinią położoną powyżej Partii Wielkanocnych.

do którego należy jeszcze kilka z największych jaskiń tatrzańskich (m.in. Śnieżna Studnia, Ptasia Studnia, Kozia, Miętusia), a w którym poznano już ponad 70 km korytarzy. Łączenie ich wszystkich w jedną jaskinię będzie zapewne przedmiotem prac eksploracyjnych polskich grotołazów jeszcze za kilkadziesiąt lat.

Potencjalnie możliwe jest jeszcze znaczne pogłębienie Jaskini Wielkiej Śnieżnej, może nawet do ponad 1000 metrów. Woda z niej bowiem wypływa w wywierzysku położonym 124 metry poniżej dotychczasowego jej dna, a sam szczyt Małołączniaka, pod którym mogą się znajdować jakieś dziś nieznane partie tej jaskini, wznosi się jeszcze ok. 174 metry powyżej najwyższego punktu osiągniętego w niej. Warto dodać, że po słowackiej stronie Czerwonych Wierchów na wysokości 2045 m znajduje się jaskinia Studnia pod Małołączniakiem z silnym przewiewem powietrza, co wskazuje na to, że może to być górne wejście do Wielkiej Śnieżnej. Jaskinia ta ma obecnie ok. 50 m długości i kończy się nieprzebytym zwężeniem za którym jest studnia ok. 15-20 m głębokości.

Planujemy odgruzowanie dna tej małej jaskini i przyłączenie jej do Wielkiej Śnieżnej.

Wielkanocnych. W drugiej połowie listopada 2003 r. znana Dzięki naszemu odkryciu deniwelacja Jaskini Wielkiej Śnieżnej wzrosła do 824 metrów (zob. notatka obok). Taka wielkość daje naszej rekordzistce ok. 140 miejsce na liście najgłębszych jaskiń świata o 8 metrów - do 824 metrów. Powiększyła się też „sucha” deniwelacja jaskini - obecnie wynosi już 801 metrów i nie ma jeszcze przejścia.

Drugiego dnia eksplorowaliśmy w rejonie Studni Bociana. Udało się nam pokonać zawalisko znajdujące się na dnie tej studni i odkryć korytarze, które doprowadziły nas do pięknie mytej szczeliny z ciekim wodnym. Długość odkrytych partii sięgnęła 175 metrów, natomiast dno tych partii przesunęło się z -237m na -255m.

Do opisanych odkryć przyczynili się Czesław Szura - kierownik akcji, Grzegorz Woś i Artur Żera ze Speleoklubu Bielsko-Biała oraz Piotr Cwiakała (Klub Wysokogórski Jastrzębie).

Czesław Szura

Szczelina nad Wielką Litworową

Wspomniana w doniesieniu Czesława Szury niewielka jaskinia – Szczelina nad Wielką Litworową, która być może już wiosną będzie szóstym, najwyższym położonym otworem Jaskini Wielkiej Śnieżnej znajduje się w odległości 80 metrów od otworu Wielka Litworowa, który obecnie jest najwyższym wejściem do Wielkiej Śnieżnej. Otwór Szczeliny nad Wielką Litworową znajduje się na wysokości 1931 m n.p.m., czyli niemal 25 m powyżej otworu Wielka Litworowa. Odkrycie wspomnianego połączenia powiększy głębokość Jaskini Wielkiej Śnieżnej o 9 metrów – do wielkości 833 metry. Do tego połączenia brakuje jeszcze ok. 5 metrów w pionie. Szczelina nad Wielką Litworową wyeksplorowana jest do głębokości ok. 4 metrów, a najwyższej dziś położone miejsce w Wielkiej Śnieżnej leży na wysokości +16 m nad poziom otworu Wielka Litworowa.

Szczelina nad Wielką Litworową jest jaskinią znaną już od niemal dokładnie 30 lat. W inwentarzu jaskiń TPN błędnie podano, że została odkryta w 1982 r., a w 1983 r. została

wyeksplorowana (co w dodatku miało być dopiero możliwe po „poszerzeniu otworu”) przez grotołazów ze Speleoklubu Warszawskiego. W rzeczywistości jaskinia ta została odkryta i w całości wyeksplorowana niemal 10 lat wcześniej – już 19.08.1974 r. przez Zbigniewa Rysieckiego z Katowic. Dodajmy, że grotołaz ten nie potrzebował wówczas rozszerzać otworu, by wejść do jaskini, co musieli uczynić wspomniani „odkrywczy” z Warszawy. Należy też dodać, że jaskinia ta była wzmiankowana już w kwietniu 1977 roku – w spisie jaskiń Tatrzańskiego Parku Narodowego zamieszczonym w Pracach Oddziału PTPNoZ w Krakowie dla Parków Narodowych Tatrzańskiego i Ojcowskiego”. Zwana była wówczas roboczo Wąski Meander lub Meander Rysieckiego. Zlokalizowana jest też na mapie jaskiń w „Atlasie Tatrzańskiego Parku Narodowego” wydanym w 1985 r. Umieszczona jest tam jako obiekt „bez nazwy” – pod numerem 226.

Wojciech W. Wiśniewski

O inwentaryzacji jaskiń Gór Stołowych – ciąg dalszy

Prace inwentaryzacyjne jaskiń w Górach Stołowych, o których pisaliśmy w poprzednim numerze „Taternika” nr 3-4/2003 (s. 49-50), grotołazi z Żagania, kierowani przez Halinę Zyziańską, kontynuowali latem 2003 roku. Kolejne ekspedycje przeprowadzono w I połowie lipca i I połowie sierpnia 2003 roku, o czym poinformowała nas H. Zyziańska, która ze względu na inne zajęcia sama nie mogła napisać relacji¹.

W 2002 r. w Górach Stołowych zinwentaryzowano kilkanaście jaskiń. Kolejne kilkanaście nowych jaskiń udokumentowano w czasie wyjazdu lipcowego 2003 roku, kiedy również działano (4 osobowa ekipa) w rejonie Piekła i Szczelińca Wielkiego. Dalszych kilkanaście jaskiń zinwentaryzowano w trakcie obozu sierpniowego. Prace dokumentacyjne prowadzono wówczas na terenie Szczelińca Wielkiego i w innych rejonach Gór Stołowych.

Wśród jaskiń znalezionych i wyeksplorowanych w pierwszym sezonie inwentaryzacyjnym, były dwie przekraczające długość 200 metrów, co w przypadku jaskiń utworzonych w piaskow-

cach jest wielkością znaczącą. Jedną z nich była Jaskinia na Potoku, która jest największa w naszym kraju jaskinią rumowiskową. Drugą – Jaskinia Jedyńka, która ma aż 17 otworów i obecnie jest jaskinią o największej w Polsce znanej liczbie otworów.

W 2002 roku w Jaskini na Potoku wyeksplorowano korytarze o długości 280 metrów i 12 metrach deniwelacji, co dało jej prymat wśród najdłuższych ze splanowanych jaskiń na terenie Gór Stołowych. W pierwszej połowie lipca 2003 roku długość jej powiększono do ponad 400 metrów. Panująca wówczas susza sprawiała, że w jaskini (mimo nazwy) nie było wody. Dzięki temu znaleziono w niej nowe, wcześniej niedostępne, korytarze. Umocniło to ją na pozycji najdłuższej jaskini Gór Stołowych i dało 40 miejsce na liście najdłuższych jaskiń Polski.

Wśród kilkudziesięciu innych jaskiń zinwentaryzowanych w latach 2002 i 2003 roku na terenie Gór Stołowych na wyróżnienie zasługuje jeszcze jaskinia nazwana roboczo Jaskinią w Wąwozie. Znajduje się ona w sąsiedztwie Jaskini na

Potoku. Ma ok. 150 m długości i jest drugą pod względem długości jaskinią rumowiskową w Polsce. Utworzona jest w ogromnym rumowisku zbudowanym z wielkich głazów piaskowca. Dzięki temu mogło dojść do powstania tam pustek o niekiedy znacznych rozmiarach – największe z nich mają 5-6 metrów długości i 3-3,5 metra wysokości. W rejonie Piekła znaleziono jeszcze kilka, mniejszych już, jaskiń, o długości do 60 metrów i deniwelacji do kilkunastu metrów.

Bardzo ciekawe jaskinie znaleziono też u podnóża urwisk Szczelińca Wielkiego. Są to jaskinie z reguły mające wiele pięter, a w niektórych są ładnie wykształcone formy erozyjne. W sierpniu 2003 roku dwie interesujące jaskinie znaleziono po południowej stronie Szczelińca Wielkiego w sąsiedztwie metalowych schodów. Normalnie wypływa z nich woda ginaąca pod ziemią na szczycie masywu. Panująca susza sprawiła, że grotolazi mogli wejść do tych jaskiń, zwykle wypełnionych ciekim wodnym. Dolna, większa z nich, ma otwór o przekroju elipsy szerokości 2 metrów i wysokości 80 centymetrów. Górna z tych jaskiń ma formę mytej rury.

Góry Stołowe do niedawna były białą plamą na jaskiniowej mapie Polski. Dzięki badaniom grotolazów z Żagania okazało się, że jest to raczej

jaskiniowe Eldorado. A to co dotąd spenetrowaliśmy to dopiero niewielki ułamek całego obszaru, tak że przed nami jest jeszcze wiele odkryć – stwierdza Halina Zyzańska.

W czasie prac inwentaryzacyjnych prowadzonych latem 2003 roku grotolazi z Żagania w jaskiniach Gór Stołowych znaleźli kolejne 3 stanowiska unikalnych form zwanych stalagmitami korzeniowymi. W lipcu 2003 r. znaleziono okaz stalagmitu korzeniowego w jednej z jaskiń Szczelińca Wielkiego. Na kolejne dwa stanowiska stalagmitów korzeniowych natrafiono w sierpniu 2003 r. Jedno z nich jest niezwykle bogate. Jest to skupienie aż 12 stalagmitów korzeniowych w jednej z jaskiń położonych koło Skał Puchacza. Powstały na 2 lub 3 korzeniach drzew na dystansie 8 metrów pod skalnym okapem z którego kapie woda. To chyba najliczniejsze stanowisko korzeniowców z dotąd znanych na świecie.

Wojciech W. Wiśniewski

¹ Artykuły na temat tych odkryć, autorstwa niżej podpisanego, zamieściła prasa. Były to kolejno teksty: „Cuda w Piekle. Jaskinie Gór Stołowych” („Gazeta Wyborcza” nr 81 z 5-6.04.2003, s. 9), „Żywe stalagmity” („Kulisy” nr 28 z 10.07.2003 r., s. 30-31), „Piekło bez wody” („Rzeczpospolita” nr 168 z 21.07.2003 r., s. A 7) i „Raj korzeniowców? Nowe jaskinie i nowe stanowiska unikalnych stalagmitów korzeniowych w Górach Stołowych” („Dziennik Polski” nr 201 z 29.08.2003 r., s. 12).

Najdłuższe jaskinie świata (stan z marca 2004)

Wojciech W. Wiśniewski

Każdy rok przynosi odkrywanie bardzo wielu nowych jaskiń, a w już znanych znajduwane są nowe korytarze. Szczególnie wiele nowych ciągów w znanych wcześniej jaskiniach przyniosły dwa ostatnie dziesięciolecia. W tym okresie znaczenie wzrosła długość najdłuższych jaskiń świata, dzięki czemu aż 14 z nich przekroczyło imponującą granicę 100 kilometrów długości. W roku 2003 ta ścisła elita wzbogaciła się o dwie jaskinie. Były to brazylijska Toca da Boa Vista (zob. „Taternik” 1-2/2002, s. 66-67) i jukatańska Ox Bel Ha, która w całości wypełniona jest wodą.

Wyjaśnijmy przy tym, że długość jaskini, to suma długości wszystkich korytarzy, studni i komór poznanych w danej jaskini. Warto zauważyć, że długość jaskini – przez osoby niezorientowane – często mylona jest z jej rozciągłością, czyli odległością (mierzoną w linii prostej) między najbardziej oddalonymi punktami jakie są znane w jaskini.

Pierwsza „setka”

Pewne zamieszanie w ustalaniu wielkości najdłuższych jaskiń świata przyniosły – szczególnie nasilone w XIX wieku i I połowie wieku XX – niezdrówne ambicje ich eksploratorów lub właścicieli. Nierzadko nie ogłaszano wtedy (lub wręcz ich nie było) planów tych jaskiń, ukazujących jakie partie jaskini znano w danym okresie. Wynikało to m.in. z tego że zwykle właściciele najdłuższych jaskiń udostępniający je turystom, byli zainteresowani w zawyżaniu wielkości długości swojej jaskini, by operując określeniem „najdłuższa jaskinia świata” lub „kraju” przyciągać jak największą liczbę zwiedzających i z tego też powodu zdarzało się że nie pozwalali na wykonywanie pomiarów przez niezależne zespoły, by „ich” jaskinia nie utraciła „prymatu” (zwykle rzekomego). Dobrym tego przykładem jest amerykańska Jaskinia Mamucia. Od XIX wieku była ona przedstawiana

jako najdłuższa jaskinia świata. Pod koniec tamtego stulecia w różnych broszurach podawano nawet, że jaskinia ma 241 kilometrów długości! W istocie suma długości wszystkich znanych w niej wówczas korytarzy była znacznie mniejsza – w 1908 roku splanowane korytarze mierzyły dopiero 56,3 kilometra, a do roku 1972 w historycznej Jaskini Mamuciej poznano „zaledwie” 93,2 kilometra korytarzy.

W rzeczywistości pierwszą w świecie jaskinią, której znana długość przekroczyła granicę 100 kilometrów, była sławna szwajcarska jaskinia Hölloch, znajdująca się w Alpach Glarneńskich. Nastąpiło to 1.03.1968 r. Wtedy to długość korytarzy poznanych w tej jaskini osiągnęła 100,05 kilometra (zob. „Taternik” 3/1968, s. 149).

Obecnie jest już 14 jaskiń przekraczających 100 kilometrów długości, a dalszych 32 ma przeszło 50 kilometrów, z czego trzy (meksykańska Sistema Purificacion, australijska Bullita Cave i ukraińsko-mołdawska Zołuszka) mają już ponad 90 km, a dwie austriackie (Hirlatzhöhle i Raucherkarhöhle) przeszło 80 km, zaś kolejne dwie jaskinie mają długość między 70 a 80 km a pięć pomiędzy 60 a 70 km. Nasza najdłuższa jaskinia, Wielka Śnieżna, z długością ponad 22 km plasuje się ok. 150 miejscu listy najdłuższych jaskiń świata. Dodajmy, że łączna długość wszystkich korytarzy znanych we wszystkich jaskiniach należących do tego samego – co Jaskinia Wielka Śnieżna – jaskiniowego systemu Lodowego Źródła, wynosi „zaledwie” ok. 70 kilometrów.

Warto zauważyć, że jaskiniowych „setek” przybiera znaczenie wolniej niż jaskiniowych „tysięcy”

i jest ich kilkakrotnie mniej. Gdy trzydzieści lat temu było więcej „setek” niż „tysięcy” (odpowiednio 4 i 2), to dziś jaskiń o głębokości większej od 1000 metrów jest 5 razy więcej niż „setek” – już ponad 70. Wynika to z tego, że długie jaskinie wymagają znacznie większego, niż jaskinie głębokie, nakładu pracy eksploracyjnej, a przede wszystkim dokumentacyjnej i to wykonywanej systematycznie przez lata.

Z dziejów rekordu długości

W 2003 roku wzrosła długość wszystkich „setek” znajdujących się w Stanach Zjednoczonych, w tym – po wielu latach przerwy – także najdłuższej jaskini świata. Od kilkunastu lat podawano niezmiennie, że Jaskinia Mamucia ma ok. 556 km długości. Po serii akcji pomiarowych wykonywanych w minionym roku, w których wzięły udział m.in. dwie osoby z Polski: Agnieszka Gajewska i Krzysztof Recielski, poinformowano że długość jej osiągnęła 360 mil, to jest ponad 579 kilometrów. O ok. 5 km powiększono długość znanej dobrze polskim grotolazom Jaskini Jeziornej, która jest jedną z dwu „setek” położonych najbliżej obecnych granic Polski.

Aktualna czołówka najdłuższych jaskiń świata (wraz z ich deniwelacją) – zestawiona wg wykazu publikowanego w internecie przez amerykańskiego grotolaza Boba Guldena (aktualizacja 25.03.2004) oraz listy ogłoszonej w „Spelunce” nr 90 przez Philipa Drouina (dane z 20 lutego 2003 r.) i informacji z Jukatanu wraz z pewnymi korektami długości niektórych jaskiń i ich nazw – wygląda następująco:

Lp.	Nazwa jaskini	Kraj, stan/region	Długość w km	Deniwelacja w m
1.	Mamucia (Mammoth Cave)	Stany Zjednoczone, Kentucky	579,364	115,5
2.	Optymistyczna (Optimisticzeskaja)	Ukraina, Podole	214,0	15,0
3.	Jewel Cave	Stany Zjednoczone, Dakota Pd.	207,718	192,7
4.	Hölloch	Szwajcaria, Alpy Glarneńskie	189,026	941,0
5.	Lechuguilla Cave	Stany Zjednoczone, Nowy Meksyk	180,096	489,0
6.	Wind Cave	Stany Zjednoczone, Dakota Pd.	178,476	202,4
7.	Fisher Ridge Cave	Stany Zjednoczone, Kentucky	172,008	108,6
8.	Siebenhengste-hohgant Hohlsystem	Szwajcaria, Alpy Berneńskie	145,0	1340,0
9.	Sistema Ox Bel Ha	Meksyk, Jukatan	133,439	33,5
10.	Jeziorna (Oziernaja)	Ukraina, Podole	122,0	8,0
11.	Gua Air Jernih (Clearwater Cave)	Malezja, Borneo	109,0	355,1
12.	Coumo d'Hyouernedo (Réseau Felix Trombe)	Francja, Pireneje	105,767	975,01
13.	Toca da Boa Vista	Brazylia, Bahia	102,0	50,0
14.	Ojo Guareña	Hiszpania, Góry Kantabryjskie	100,0	163,0

1). Do niedawna głębokość tej jaskini określano na 1004 m i 1018 metrów.

Jaskinie o długości przekraczającej 100 km odkryto już w 8 krajach w 4 częściach świata. Najwięcej, aż 5 z nich, jest w USA, po dwie takie jaskinie są na Ukrainie i w Szwajcarii. Należy się spodziewać, że w ciągu najbliższych kilku lat do grona krajów posiadających jaskinie o długości ponad 100 km dołączą także Austria oraz Australia i Rosja. Są tam bowiem znane już bardzo rozległe jaskinie (w dwu pierwszych mające już ponad 90 km długości), w których odkrycie i wyeksplorowanie dalszych korytarzy, dzięki czemu przekroczą one granicę 100 km, jest tylko kwestią czasu, bo warunki geologiczne wskazują na możliwość istnienia tam jaskiń znacznie dłuższych, o długości liczonej nawet w tysiącach kilometrów.

Rekordzistki

Każda z tych jaskiń, poza tym, że jest imponującej długości, jest jeszcze wyjątkowa na inny sposób. Niektóre z nich są rekordowymi w skali świata.

Poza dwoma jaskiniami wszystkie z najdłuższych rozwinięte są w wapieniach i dolomitach. Dwie z „setek”, ukraińskie jaskinie Optymistyczna i Jeziorna, utworzone są w skałach gipsowych. Obie jaskinie to niezwykle gesty, bardzo skomplikowany labirynt przeważnie niewielkich, niemal bliźniaczo podobnych do siebie korytarzy o poziomym rozwinięciu, rozciągający się na niewielkim obszarze. W pierwszej z tych jaskiń stwierdzono, że gęstość sieci wynosi ok. 300 km jaskiniowych korytarzy pod 1 km² powierzchni. Dodajmy, że w Polsce najdłuższą jaskinią utworzoną w gipsach, jest Jaskinia Skorocicka mająca 352 m długości.

W szwajcarskiej jaskini Hölloch, dochodzi do niezwyklej przyborów wody. Po większych opadach i roztopach, ze względu na znaczne przekroczenie możliwości odpływu, woda w bardzo krótkim czasie wypełnia dużą część dolnych pięt jaskini, niekiedy nawet kilkadziesiąt kilometrów jej korytarzy i wtedy na powierzchnię wydostaje się przez otwór położony około 90 metrów ponad zwykłym poziomem wody. W partiach położonych w poziomie około 5 kilometrów od wejścia do jaskini, poziom wody może podnieść się niekiedy nawet o 180 metrów ponad normalny stan – jest to największe na świecie spiętrzanie poziomu wody jakie jest znane w jaskiniach. Natomiast przez malajską jaskinię Gua Air Jernih, która jest najdłuższą jaskinią w krasie tropikalnym, przepływa ogromna jaskiniowa rzeka (jedna z największych znanych), którą w czasie wezbrań płynie ponad 40 m³/s. Z kolei szwajcarska jaskinia Sieben Hengste-Hohgant jest częścią

jednego z najdłuższych stwierdzonych w świecie przepływów krasowych – o długości ponad 20 kilometrów.

Meksykańska jaskinia Ox Bel Ha, to rozległy system poziomo rozwiniętych korytarzy w całości wypełnionych wodą. Tymczasem brazylijska jaskinia Toca da Boa Vista, jest niezwykle sucha. Miejscami wilgotność powietrza wynosi ok. 50-80%, panuje w niej bardzo wysoka temperatura (do +35o C w najcieplejszych partiach), a w dodatku po przejściu ludzi w powietrzu unosi się pył, który drażni oczy i gardła co sprawia iż z wielką trudnością się oddycha, działalność w tej jaskini jest wyjątkowo uciążliwa i wymaga od grotolazów szczególnej kondycji i kwalifikacji.

Z otworu amerykańskiej jaskini Wind Cave wypływa powietrze z szybkością do ponad 110 km/godz (stąd nazwa jaskini), co jest jedną z największych na świecie prędkości przepływu powietrza stwierdzonych w jaskiniach. Inna z amerykańskich jaskiń została nazwana Jewel Cave, czyli „klejnot”, ze względu na piękno i bogactwo kryształów kalcytu pokrywających jej ściany, miejscami ich warstwa osiąga ok. 20 centymetrów grubości. Kolejny amerykański kolos – Lechuguilla – ze względu na wyjątkowo bogatą i unikalną zarówno pod względem kształtów, kolorów (m.in. żółte, pomarańczowe, szaroniebieskie, brązowe, śnieżnobiałe, ciemnoczekoladowe), formy, wielkości oraz wykształcenia, składu jak i genezy szatę naciekowa, uważana jest za najpiękniejszą jaskinię świata.

Francuska jaskinia Coumo d'Hyuernedo jest jedną z najdłużej eksplorowanych jaskiń o rozwinięciu pionowym. Zaczęto ją badać już ponad 125 lat temu, jak tylko zaczął się tworzyć jaskiniowy alpinizm. Natomiast w hiszpańskiej jaskini Ojo Guareña, znaleziono ślady stóp człowieka paleolitycznego.

„20 lat sądeckiego grotolażenia”



Miało być hucznie i wesoło...

Czas szybko upływa i już tylko niektórzy członkowie Sądeckiego Klubu Taternictwa Jaskiniowego PTTK pamiętają jak powstał on 20 lat temu. Został on założony przy Oddziale PTTK „Beskid” w Nowym Sączu w dniu 20 lutego 1984 r. Nastąpiło to dzięki Annie Antkiewicz i Krzysztofowi Hancbachowi. W skład pierwszego zarządu SKTJ weszli Anna Antkiewicz – Prezes, Krzysztof Hancbach, Jacek Koszkuł, Halina Żelasko i Krzysztof Świerczewski. Na początku Klub działał w oparciu o Katowicki Klub Speleologiczny, będąc jego sekcją. Później się to zmieniło, bo prowadzona intensywnie działalność szkoleniowa doprowadziła do tego, że już w 1988 r. członkowie Klubu mieli wymagane uprawnienia PZA i SKTJ stał się samodzielnym klubem i został przyjęty w poczet klubów zrzeszonych w Polskim Związku Alpinizmu...

I tak miał być pisany ciąg dalszy tej historii, lecz tragedia, która dotknęła nas w styczniu przesunęła te plany na późniejszy okres. Z okazji jubileuszu przygotowana została impreza towarzyska i wysłane zostały zaproszenia, przygotowywany był wernisaż zdjęć obrazujących historię działalności Klubu. Chcieliśmy na nim pokazać kolejne sukcesy eksploracyjne w Jaskini Małej w Mułowej. I nagle 29 stycznia dotarła do nas wiadomość o lawinie na podejściu do tej jaskini, a potem wiadomość o śmierci naszych przyjaciół: Prezes – Anny Antkiewicz, Magdaleny Jarosz, Piotra Trzeszczonia i Daniela „Iwo” Rusnarczyka. A parę dni wcześniej rozmawialiśmy z nimi, snuiliśmy plany dotyczące dalszej eksploracji Jaskini Małej w Mułowej, cieszyliśmy się, że jej głębokość przekroczyła już 500 m. I nagle to wszystko przestało mieć znaczenie.

W pierwszych dniach lutego, zamiast organizowania 20-lecia klubu, musieliśmy odprowadzić na miejsca wiecznego spoczynku „Iwo”, Magde, Piotra i wreszcie naszą Prezes. Gdy ich odprowadzaliśmy towarzyszyły nam tłumy ludzi, ich Rodzice, bliscy, znajomi. Powstały pytania czy warto to wszystko robić, czy warto ponosić takie ofiary? Później przyszły refleksje, że przecież trzeba dokończyć to, co zaczęła Anka. Nie wyobrażaliśmy sobie, by można było się bawić na zaplanowanym kuligu i ognisku, ale wystawa „20 lat sądeckiego grotolażenia” musiała się odbyć.

W dniu 21 lutego, a więc równo 20 lat od chwili powstania Klubu zgromadziliśmy się w sali Oddziału PTTK. Na wernisaż wystawy przybyli Prezydent Miasta Nowego Sącza Józef Wiktor, przedstawiciel Urzędu Miasta Józef Kantor, prezes oddziału PTTK Adam Sobczyk, członkowie PTTK, grotolazi i członkowie Klubu, a także rodziny tych co tak tragicznie od nas odeszli. Najpierw pod portretami naszych przyjaciół Prezydent, obok kosówki, złożył wianuszek czerwonych róż. Później wręczone zostały odznaczenia i dyplomy PTTK. Cóż za ironia losu – w dniu śmierci Ani, Zarząd Główny PTTK przyznał jej Złotą Honorową Odznakę PTTK. Teraz w Jej imieniu odebrały ją Jej mama i córka. Srebrną Honorową Odznakę PTTK otrzymał Marek Lorczyk, zaś dyplomy Paweł Wańczyk, Czesław Zabrzeński i Piotr Floryan. Z rąk Prezydenta miasta otrzymaliśmy pamiątkowy graweron w uznaniu naszych zasług w promocji miasta. Oficjalnego otwarcia wystawy dokonał prezes Adam Sobczyk – zamiast planowanego szampa była lampka czerwonego wina. Potem były rozmowy i wspomnienia. Radość z jubileuszu, jak i z kolejnych sukcesów w Małej przyciemniał smutek. Płonący płomień światła karbidowego na kasku ubranego w sprzęt manekina przypominał, o tych co odeszli. Uświadamiał, że już nigdy nie będzie tak jak dawniej. Wszak wśród zmarłych była Anka, nasza Prezes od początku powstania Klubu, która zaszczebiała w nas swą pasję i nauczyła nas tego wszystkiego co umiemy.

Mimo wcześniejszych wątpliwości dokończymy eksplorację Jaskini Małej w Mułowej, będziemy kontynuowali to nasze wspólne dzieło - nie dla nagród i rozgłosu, ale dla własnej satysfakcji i dla spełnienia marzeń, bo warto marzyć. Dla żartu w klubowej książce wyjść wpisywaliśmy przy wejściach do Małej „- 500”. Po dwóch latach marzenia okazały się rzeczywistością. Teraz apetyty rosną, czas pokaże, co uda nam się dokonać jeszcze w Małej. Mamy nadzieję, że Ci, których zabrały nam góry, będą zawsze z nami podczas naszych kolejnych akcji jaskiniowych. Na dokończenie historii Klubu przyjdzie jeszcze czas, będą kolejne okazje, kolejne rocznice powstania Klubu...

Marek Lorczyk
Prezes SKTJ PTTK

Kolosy 2003 rozdane

Piąta edycja wręczenia nagród Kolosy miała miejsce 27 marca w Teatrze Miejskim w Gdyni i tradycyjnie towarzyszyła VI Ogólnopolskim Spotkaniom Podróżników, Żeglarzy i Alpinistów.

W kategorii alpinizm Kolosa 2003 otrzymali Marcin Tomaszewski, Krzysztof Belczyński i Dawid Kaszlikowski za wytyczenie nowej drogi monolitem ściany Citadel na Alasce. Wyróżnienia w tej kategorii otrzymali Janusz Gołąb, Stanisław Piecuch i Grzegorz Skorek za nową zimową drogę na zachodniej ścianie Dru oraz Sylwia Bukowicka za wejścia na dwa ośmiotysięczniki w ciągu jednego roku (Gasherbrum II i Cho Oyu).

W kategorii Eksploracja Jaskiń Kolosa nie przyznano. Wyróżnieni zostali Sądecki Klub Taternictwa Jaskiniowego za odkrycie nowego ciągu o deniwelacji przeszło 400 m w Jaskini Małej w Tatrach, polscy uczestnicy międzynarodowej wyprawy do jaskini Cheve w Meksyku, która osiągnęła rekord głębokości półkuli zachodniej oraz wyprawa na wyspę Madre de Dios w Chile, kierowana przez Andrzeja Ciszewskiego.

Nagrodę pieniężną im. Andrzeja Zawady „dla najlepiej zapowiadającego się młodego podróżnika do lat 26”, ufundowaną przez prezydenta Gdyni, w formie grantu w wysokości 10.000 zł, przyznano Maciejowi Ciesielskiemu, który w ostatnich dwóch latach ma na koncie udane wspinaczki w Alpach, na Alasce, w Yosemite i Patagonii. Po nich za cel tegoroczny obrał skalne turnie w Karakorum.

Grzegorz Głazek

Trzy razy Eiger

1. W stylu retro

W dniach 17 – 18 sierpnia 2002 r. dwóch szwajcarskich alpinistów Stephan Siegrist (29) i Michal Pitelka (41, Czech z pochodzenia) dokonali przejścia klasycznej drogi na północnej ścianie Eigeru, używając stroju i sprzętu z lat 30-tych. Podkute buty i stare czekany pochodziły z zapasów armii szwajcarskiej, haki i ubrania skompletowano z różnych źródeł, stare modele raków specjalnie dla nich wykuła firma Grivel. Na jedyny kompromis z nowoczesnością Szwajcarzy poszli w sprawie lin – użyli współczesnych, z rdzeniem nylonowym. W przygotowaniach pomagał im jeden ze zdobywców ściany – dziś 98-letni Anderl Heckmair.

2. Rekord szybkości

Sprzyjająca pogoda i świetne warunki sprawiły, że zimą 2003 r. duży ruch panował na klasycznej drodze północną ścianą Eigeru. Wielu zespołom udało się pokonać ścianę w jeden dzień. Niewątpliwie przyczyniła się do tego również duża ilość stałych punktów asekuracyjnych i lin poręczowych, które sprawiają, że niemal zbędne jest stosowanie naturalnej asekuracji. Niewątpliwie najbardziej znaczącym osiągnięciem był rekord szybkości ustanowiony przez włoskiego solistę Christopha Hainza. Przebiegł on niemal 4-kilometrowej długości drogę Heckmaira i towarzyszy w czasie 4 godz. i 40 min., bijąc o 10 min. liczący już niemal 20 lat rekord Thomasa Bubendorfera. Na wspinaczkę zabrał jedynie płachtę biwakową, litr płynu, 40 m lekkiej liny, 2 karabinki i telefon komórkowy. Z wyjątkiem zalodzonej Trudnej Rysy wspiął się cały czas bez asekuracji. Wyczynu tego Hainz dokonał 24 marca 2003 r., tuż po upływie terminu zimy kalendarzowej.

3. Rote Fluh klasycznie

W 1998 roku znany specjalista od tej ogromnej ściany i autor 3 nowych dróg – Daniel Anker – namówił świetnego, młodego wspinacza Stephana Siegrista do klasycznego zmierzania się z najbardziej stromą partią, zwaną Rote Fluh. Ogromne, przewieszzone, czerwone płyty w prawej części ściany, spod których droga Heckmaira i towarzyszy ucieka w lewo Trawersem Hinterstoissera, długo były uważane za nie do przejścia klasycznego. Zbyt strome i zbyt kruche – taka była diagnoza tych, którzy przeszli tę partię ściany z pomocą sztucznych ułatwień.

Anker i Siegrist długo zmagali się z trudnościami, dużo wiercąc, ale zawsze (tu uwaga!) – podczas prowadzenia, od dołu. Po pokonaniu przewieszzonej partii, kontynuowali wprost, wzdłuż Czeskiego Filara, osiągając zachodnią flankę Eigeru znacznie wyżej od dróg prowadzących Filarem Genewskim. 27-wyciągowa linia została nazwana tytułem kubańskiego filmu La Vida es Silbar (Życie jest jak gwizdnięcie).

W lipcu 2003 Siegrist wrócił pod ścianę, mając za partnera swojego rodaka Ueli Steckę, by tym razem pokonać drogę w stylu RP. Przy wielu odpadnięciach prowadzącego, dwójka potrzebowała 12 godzin na pokonanie pierwszych 16 wyciągów, by wreszcie spędzić mroźną noc na Czeskim Biwaku. Ponieważ prognoza pogody zapowiadała na następne popołudnie nadejście chłodnego frontu z możliwością burz,

Siegrist i Steck bardzo wcześnie rozpoczęli wspinaczkę, używając zdrtwiałych palców do pokonywania wciąż wielkich trudności. Na szczęście szybko się ociepliło, wspinaczka stała się znacznie przyjemniejsza, i po 7 i pół godzinie szwajcarska dwójka zdołała osiągnąć wierzchołek Czeskiego Filara tuż przed nadejściem frontu. W stale pogarszającej się pogodzie wspinaczom udało się zejść do Kleine Scheidegg o godz 16,30.

900-metrowa La vida es Silbar zawiera m.in. siedem wyciągów we francuskiej skali 7, w tym po dwa 7b+ i 7c, należy więc do najdłuższych dróg o nagromadzonych trudnościach klasycznych w wysokich partiach Alp.

Głowacz i Jasper na Cerro Murallón

Mimo zimna i wietrznej pogody, w dniach 4 i 5 grudnia Niemiec Stefan Glowacz i Szwajcar Robert Jasper przeszli jako pierwsi 1100-metrowy północny filar trudno dostępnego szczytu Cerro Murallón (3070 m, też 2810 m, 2885 m), wznoszącego się w południowej części Hielo Patagonico Sur, ok. 70 km na pd.-zach. od Fitz Roya. Po trudnym marszu do stóp góry i dłuższym wyczekiwaniu na przeblysk pogody, z bazy w jaskini lodowej pod ścianą zaczęli przejście w nocy z 3 na 4 grudnia i w 26-godzinnej akcji non stop pokonali miejscami niemal pionową lodową i miktstową formację, której trudności oceniają na 7+ (5.11) M8. Drogę nazwali The Lost World. Równie mocną przygodą były zjazdy w szalejącej wichurze patagońskiej. Zgodnie z filozofią wspinaczkową Glowacza, dwójka działała w odludziu, bez żadnego wsparcia w postaci tragarzy czy lekarza. W r. 1961 El Murallón atakowała wyprawa Shiptona, którą niepogoda zwróciła z poblizka wierzchołka. Pierwszego wejścia dokonała w 1984 r. wyprawa włoska (Casimiro Ferrari), bardzo trudną ścianą pd.-wsch. (Ferrari uznał ją za najtrudniejszą w całym rejonie). W 1999 r. wschodnią ścianą wspiwała się dwójka francuska (Laurence Monnoyeur i Bruno Sourzac), zawróciła jednak w wicherungach 300 m od szczytu. 13 listopada 2003 drugiego wejścia na główny (wschodni) wierzchołek dokonał Słoweńiec Silvo Karo (od pd.-wsch.) – o czym chyba nie wiedzieli Glowacz i Jasper, którzy nie wspomnieli o tym w swych korespondencjach. (jn)

Kolejne sukcesy Rafała

W kanadyjskiej części Gór Skalistych pięknym pierwszym wejściem zimowym błysnęli Ben Firth i znany naszym czytelnikom Rafał Sławiński, którzy w dniach 19-21 lutego 2004 pokonali drogę zespołu Greenwood-Locke (latem 5.9, A1) na 1350-metrowej północnej ścianie Mount Temple (3547 m). Ściana ta jest nazywana „Eigerem kanadyjskich Gór Skalistych”. Dotąd miała już 10 prób zimowych, w tym cztery znanego alpinisty i autora przewodników, Seana Daugherty’ego. Mimo ciężkich warunków – w Kanadzie zima jest nie byle jaka – Ben i Rafał przeszli ją w rekordowym czasie, a to dzięki mistrzowskiemu opanowaniu wyrafinowanych technik lodowych, miktstowych i drytoolingowych. Do przejścia przygotowywali się na drogach 5.8 na ścianie szczytu Yamnuska niedaleko Calgary.

Jeszcze w tym samym sezonie Rafał Sławiński ponownie wybrał się na ścianę Mount Temple, tym razem w towarzystwie... Walerego Babanowa. W ciągu 2 dni dokonali pierwszego zimowego a prawdopodobnie drugiego w ogóle przejścia tzw. Sphinx Face – drogi poprowadzonej w październiku 1988 r. przez Warda Robinsona i Roba Orviga (5.9, A2). Babanow i Sławiński, po ukończeniu drogi, ze względu na załamanie pogody, musieli porzucić pierwotny zamiar zejścia najłatwiejszą drogą i zjechać drogą wspinaczką.

Warto poświęcić kilka zdań partnerom Rafała. Ben Firth jest znanym kanadyjskim specjalista od dry toolingu. W styczniu wslawił się poprowadzeniem najtrudniejszej miktstowej drogi na świecie – The Game (masyw Cineplex, Alberta) – wycenionej na M13. Jej trudności zostały potwierdzone przez następców. Drogę wkrótce powtórzyli Harald Berger (tylko kluczowy odcinek), Hiszpan Israel Blanco, Mauro „Bubu” Bole i Jewgienij Kriwoszejcew. Współautorem poprzedniczki The Game – sławnej Musashi (M12) był również Firth, który partnerował prowadzącemu Gadd’owi.

Walerij Babanow, jak możemy przeczytać w tym samym n-rze „Taternika”, na str....., jest zdobywcą Złotego Czeka na drogę na Nuptse East. Przejście Sphinx Face było jego pierwszą wspinaczką w kanadyjskich Górach Skalistych. Babanow wyemigrował do Kanady i mieszka obecnie w Calgary.

Północna ściana Ak Su pokonana zimą

Gromkim „Uraaaa!” powitały rosyjskie strony internetowe wiadomość Nikołaja Zacharowa z Pamiro Ałaju, że jego zespół w pełnym składzie osiągnął szczyt Ak Su (5350 m) i mimo wrednej pogody szczęśliwie powrócił do bazy. Alpinści stanęli na szczycie w południe 23 lutego. 36 trudnych wyciągów no-

wej drogi, pierwsze zimowe przejście ściany pięknego 5-tysięcznika – to efekt niemal trzytygodniowych zmagani i sukces na poziomie światowym, choć wpatrzony w El Capitana świat niewiele wie o innych górach. Na razie nie podano szczegółów przejścia. A oto lista członków ekipy Krasnojarskiego Kraju: J. Dymitrienko, A. Pugowkin, D. Cyganow, S. Czieriezow, A. Litwinow, P. Małygin oraz w trójce pomocniczej – J. Glazyrin, W. Sawidiew i W. Cyganow. Kierownicy i trenerzy: N.N. Zacharow i W.W. Baliezin, lekarz A. Kuchariow. Wszyscy wspinacze, to niedawni „stołbiści”, wychowankowie słynnych Stołbów w pobliżu Krasnojarska.(jn)

Nowa droga na Kangchendzöngę

20 maja 2003, Christian Kuntner, Mario Merelli, Gnaro Mondinelli i Carlos Pauner stanęli na wierzchołku trzeciego szczytu świata Kangchendzöngi (8586 m) po przejściu nowej, 900-metrowej drogi środkiem południowej ściany kopuły szczytowej. W czasie zejścia, wskutek złej widoczności we mgłę i w opadzie śniegu, Pauner oddzielił się od swoich towarzyszy i zaginał. Uczestnicy wyprawy obawiali się najgorszego. Tymczasem zdarzył się niemal cud: po trzech mozołu, bez jedzenia i picia i dwóch nocach spędzonych bez namiotu i śpiwora, w asyście Szerpów, którzy wyszli mu naprzeciw, ale o własnych siłach, Pauner pojawił się w bazie. Opowiadał potem o całej serii pechowych przypadków, jaka stała się jego udziałem: złamanie raka, stumetrowy upadek i utrata czekana

Przygoda kosztowała go ciężkie odmożenia, po powrocie do domu amputowano mu dwa palce u rąk i obydwa paluchy. Przed wyprawą na „Kancza” Pauner miał na swoim koncie już 3 ośmiotysięczniki: K2, Makalu i Broad Peak.

Pasang Lhamu Chuli - Amerykanie pod ostrzałem

Jak podaje „High Mountain” (No.252, November 2003), dwójka amerykańskich alpinistów Jeff Lamoureux i David Morton przeżyła jesienią 2002 r. niebezpieczną przygodę podczas rekonesansu przed próbą poprowadzenia nowej drogi na szczyt Pasang Lhamu Chuli (7350 m) w rejonie Cho Oyu. Amerykanie założyli bazę na lodowcu Sumna, pod południową flanką szczytu (5100 m), po czym 20 września udali się w okolice znanej granicznej przełęczy Nangpa La, żeby rozpoznać ew. drogę zejściową. Ok. 13 km przed przełęczą, napotkali uzbrojonego chińskiego żołnierza, który poprosił o jedzenie i picie. Alpinści poczęstowali go i kontynuowali marsz w górę doliny. W godzinę później zobaczyli innego umundurowanego mężczyznę. Tym razem żołnierz ukrył się za skałą i Amerykanie nie mieli z nim kontaktu. Zaintrygowani ale również zaniepokojeni rozwojem sytuacji, postanowili zawrócić. Mniej więcej w tym samym miejscu co poprzednio natrafili na pierwszego żołnierza i ponownie dali mu jeść i pić. Gdy po tym spotkaniu oddalili się na ok. 10 min. w dół doliny, rozległy się strzały i kule świsnęły nad ich głowami. Obydwaj Chińczycy byli już razem i w niewielkiej odległości od nich. Lamoureux i Morton zaczęli uciekać. Szybko zorientowali się, że z obciążeniem nie mają szans. Ukryli więc plecaki za głazami i puścili się pędem w dół doliny, cały czas słysząc strzały za plecami. Udało im się ukryć w bocznej dolinie, i dopiero po kilku godzinach zdecydowali się na dalszy marsz do bazy. Po wysłuchaniu ich opowieści, sirdar wyprawy stanowczo zażądał natychmiastowego powrotu do Namche Bazar.

W kilka dni później dwójka Amerykanów powróciła w towarzystwie policjanta z Namche. W czasie podejścia do miejsca ataku napotkali tybetańskiego uciekiniera, który wyjaśnił, że wraz z liczną grupą przekroczył Nangpa La w wieczór poprzedzający strzelaninę. Był wolniejszy od towarzyszy, został z tyłu a słysząc strzelaninę musiał się ukryć. Amerykanie nie potrafili odnaleźć swoich plecaków ale zdołali odzyskać wszystkie swoje rzeczy pozostawione w bazie.

W okresie tego incydentu wiele wypraw działało na normalnej drodze od Tybetu na Cho Oyu, tuż po północnej stronie Nangpa La. Nieopodal znajduje się posterunek armii chińskiej, który specjalizuje się w wylapywaniu uciekinierów. Znany nowozelandzki przewodnik Russell Brice, który co rok organizuje komercyjne wyprawy na Cho Oyu, dowiedział się od Chińczyków, że trójka żołnierzy została napadnięta i rozbrojona przez dużą grupę Tybetańczyków. Następnego dnia urządzili polowanie na zbiegów po nepalskiej stronie granicy. Po niepowodzeniu pościgu wrócili i zatrzymali się na noc w wysuniętej bazie Russela Brice'a. Następnego dnia przybyła znacznie większa grupa żołnierzy, prawdopodobnie w celu kontynuowania poszukiwań.

Chińskie wyjaśnienia wzbudzają jednak szereg wątpliwości. Abstrahując już od faktu wkroczenia na teren sąsiedniego, suwerennego państwa, nie sposób uwierzyć w to, że żołnierze mogli pomylić Amerykanów z tybetańskimi uciekinierami...

Pasang Lhamu Chuli (7350, 7352 m) leży na granicy nepalsko-tybetańskiej, ok. 5 km na pd.zach. od Cho Oyu i jest znany również pod innymi nazwami: Josamba Cho-Atui oraz Nangpai Gosum I. Oficjalnie używaną nazwę nadano mu dla upamiętnienia pierwszej Nepalki na najwyższym szczycie świata – Pasang Lhamu, która zginęła w zejściu z wierzchołka Everestu w 1993 r. Pasang Lhamu Chuli po raz pierwszy zdobyty został w 1986 r. przez Japończyków od strony tybetańskiej pn. ścianą i pn.-zach. granią. Znane są jeszcze dwa wejścia całością pn.-zach. grani, które miały miejsce jesienią 1996 r. Dokonały tego: 5 osobowa japońska wyprawa z Osaki oraz 12 osobowa włosko-francuska wyprawa komercyjna.

Nanga Parbat 1970 – Messner mówił prawdę?

Günther Messner naprawdę zszedł flanką Damiar z Nanga Parbat, jak zawsze twierdził jego brat Reinhold. Fakt ten został potwierdzony, po badaniach genetycznych, przez anatomopatologa Eduarda Egartera, tego samego, który badał mumię „Ötzi’ego”, sławnego „człowieka z Similaun”. Zbadał on szczątki ludzkie, które przypadkowo znalazł Hanspeter Eisendle w 2000 r. u stóp zachodniej ściany Nanga Parbat. Poddana badaniu kość strzałkowa, można stwierdzić niemal na pewno (100% pewności nie można mieć w tego typu analizie), należała do Günthera Messnera.

Ta wiadomość, rozpowszechniona najpierw przez gazety południowo-tyrolskie, a potem przez wiele włoskich dzienników i stacji telewizyjnych, może stanowić ważne i prawdopodobnie ostateczne potwierdzenie wersji tragicznych wydarzeń z 1970 roku, którą zawsze podtrzymywał Reinhold Messner.

W 1970 r., podczas wyprawy Karla Herrligkoffera, bracia Messnerowie weszli na wierzchołek Nanga Parbat (pierwszy osmiotysięczny szczyt Reinholda) po pokonaniu nowej drogi na dziewiczej ścianie Rupal. Z braku liny musieli schodzić nieznaną im flanką Damiar. Skrajnie wyczerpani, zgubili się w czasie zejścia. Reinholdowi udało się osiągnąć dolinę, Günthera więcej nie widziano. Kierownik i niektórzy uczestnicy ekspedycji nie uwierzyli w opowieść Reinholda – uważali, że jego brat zginął podczas zejścia flanką Rupal, ew. zmarł na biwaku lub został porzucony w stanie skrajnego wyczerpania.

Na tym możnaby zamknąć ten temat, gdyby nie książka jednego z milczących dotychczas uczestników wyprawy z 1970 r – Maxa von Kienlina*, która zasiała ziarno wątpliwości...

Korona Himalajów dla trzeciego Koreańczyka

15 lipca 2003 r. na wierzchołku Broad Peak stanął 36-letni Wang-Young Han. Był to dla niego 14 osmiotysięcznik – ostatni szczyt w Koronie Himalajów. Wcześniej w tym samym sezonie – 26 czerwca – wszedł na Gasherbrum II. Wang-Young Han zaczął kolekcjonować osmiotysięczniki w 1994 r., rozpoczynając od Everestu. Dwa lata później wszedł na Dhaulagiri, Gasherbrum I i Lhotse. Annapurne i Nanga Parbat osiągnął w 1998 r., Manaslu i K2 – w 2000, Makalu i Shisha Pangma – w 2001 a Kangchendzöngę – w 2002. Skompletowanie Korony Himalajów zajęło mu więc 9 lat. Tylko na Everest i Kangchendzöngę wspinał się korzystając z dodatkowego tlenu, na K2 wszedł bez tlenu, ale w zejściu był osłabiony i musiano mu podawać tlen medyczny.

Mamy obecnie 11 „koronowanych głów” i w tym ekskluzywnym gronie gronie na razie prym wiodą Koreańczycy (3). Po 2 przedstawicieli mają Hiszpanie (Baskowie), Polacy i Włosi, a po jednym – Meksykanie i Szwajcarzy. Najbliżsi dołączenia do nich (może już wiosną 2004) są Abele Blanc, Fausto de Stefani i Ed Viesturs, którym brakuje po jednym szczycie.

Dalsze ułatwienia w Pakistanie

Pakistan przygotowuje się do obchodów 50 rocznicy zdobycia K2, przypadającej 31 lipca 2004 roku. Władze liczą, że rok jubileuszu będzie przełomowy dla ruchu turystycznego, który bardzo się zmniejszył po atakach 11 września i obaleniu talibów w sąsiednim Afganistanie. Spodziewają się dużego napływu alpinistów i trekkerów, których kuszą ułatwieniami formalnymi i obniżkami cen. W numerze 1/2004 pisaliśmy o obniżeniu royality za atakowanie szczytów. Teraz dowiedzieliśmy się o kolejnym ułatwieniu: o 500 m podwyższona została granica od której wymagane jest uiszczenie opłaty za pozwolenie. Obecnie szczyty o wysokości nie przekraczającej 6500 m (i nie leżące w niektórych rejonach uznawanych za „restricted area”) uważane są za „trekkingowe”. Wspinacze pragnący wspinać się np. na Trango Tower (6257 m) czy Uli Biaho Tower (6083 m) są obowiązani uiścić jedynie zwykłą opłatę trekkingową – 50 \$ od osoby za miesiąc. Jak informowaliśmy, już wcześniej dla tej kategorii szczytów zrezygnowano z obowiązku dołączania do ekipy oficera łącznikowego

*Max von Kienlin: „Die Überschreitung. Günther Messner Tod am Nanga Parbat”. München 2003. W Polsce ukazała się pod tytułem: Śmierć na Nanga Parbat. Uczestnicy wyprawy przerywają milczenie”. Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2004.



Trzy lawiny

Adam Marasek

17.01.2004.

Godzina 9.35. W Centrali TOPR dzwoni telefon alarmowy. Dzwonią taternicy wspinający się na Wielkiej Turni z informacją, że przed chwilą byli świadkami lawiny, która zesłała Przechoodem w Dolinie Małej Łąki. Lawina zabrała 3 osoby. Na lawinisku widzą jedną osobę. Nie widać co z pozostałymi. Informują, że są na pierwszym wyciągu, blisko miejsca wypadku. Zjeżdżają w dół i pójdą na lawinisko. Przed godziną 10-tą przy Centrali TOPR ładuje śmigłowiec Mi-2 i zabiera lekarza i ratownika z psem lawinowym. Po chwili śmigłowiec przyziemia na morenie nieopodal czoła lawiny. Ratownicy desantują się a śmigłowiec leci do Zakopanego po kolejną grupę ratowników. Okazuje się, że drugi człowiek był tylko częściowo przysypany przez lawinę. Ratownicy rozpoczynają poszukiwania trzeciego zasypanego. O godz. 10.15 natrafiają sondą na zasypanego. Szybko odkopują głowę i lekarz od razu przystępuje do reanimacji. Od chwili zawiadomienia o wypadku upłynęło ponad 40 minut. Szczęściem wokół głowy wytworzyła się niewielka poduszka powietrzna. Czy to jest jego szansa? Po defibrylacji udało się przywrócić akcję serca. Niestety rany nie jest w stanie sam oddychać. Przez rurkę intubacyjną wspomaganie jest oddychanie aparatem Ambu. Lekarz podaje odpowiednie leki, podłącza kroplówkę, wspomaga oddychanie tlenem. Tak zaopatrzonego ratownicy w pulkach transportują na morenę, skąd w kolejnym locie zabiera go do szpitala śmigłowiec.

Można zając się drugim poszkodowanym. Ma on uraz lub poważne stłuczenie uda, jest wychłodzony. Ratownicy ogrzewają go pakietami grzewczymi, okrywają płachtą NRZ i tak zaopatrzonego transportują na morenę skąd znów do szpitala zabiera go śmigłowiec. Trzeci porwany przez lawinę z wypadku poza urazem psychicznym wyszedł bez szwanku.

A wszystko zaczęło się od tego, że przez prawie cały miniony tydzień w Tatrach wiał silny wiatr z kierunków S-SW. Prędkość wiatru dochodziła do 30m/s. Tak silny wiatr przenosił śnieg, którego w sumie było niewiele na stoki zawietrzne do wszelkich zagłębień; żlebów, jarów, kotlinek. Tam przewiany śnieg odkładał się w postaci niezwiązanych z zalodzonym podłożem poduch i klinów.

Tego dnia rano trzej taterników z Krakowa wybrało się do Dol. Małej Łąki z zamiarem wspinaczki

na zach. turniach Kopy Kondrackiej. Będąc pod Przechoodem podchodzili lewym (patrzac od dołu), jego skrajem, dość bezpieczną wypukłą formacją. W czasie podejścia wypatrzyli w lewej (patrzac od dołu) części Wielkiej Turni formację skalną z okapami, wznoszącą się tuż nad Przechoodem. Ponieważ na Wielkiej Turni wspinął się już jeden zespół (ich kolegów?), postanowili wspiać się przez Okapy na Wielką Turnię. Zaczęli trawersować Przechód poniżej skał idąc w niewielkich odstępach jeden za drugim. Podcięli nawiane śniegi i z niewielką lawiną zjechali około 80-100 m w dół. Jeden taternik został całkowicie zasypany, drugi częściowo a trzeci własnych siłach wydostał się z lawiniska. Szczęściem całe zdarzenie widział zespół wspinający się tuż obok i zaraz o wypadku powiadomił TOPR. Szczęściem była lotna pogoda i na miejsce wypadku, jak najszybciej było można, dotarli ratownicy i lekarz z zestawem reanimacyjnym. Trzecim szczęściem było również to, że szybko odnaleziono i odkopano zasypanego taternika. I tu niestety koniec szczęścia. Taternik Piotr M. zmarł po około miesiącu od wypadku nie odzyskawszy przytomności.

W dniu wypadku w Tatrach obowiązywał II stopień zagrożenia lawinowego. Śniegu w górach było niewiele. Był on jednak przewiewany na stoki zawietrzne. Taternicy popełnili błąd, trawersując stromy (około 40o) stok zawietrzny, na którym wiatr odłożył sporo zbitego, przewianego, nie związanego z podłożem śniegu.

28.01.2004.

O godz. 23.00 ratownik dyżurny odbiera telefon. Dzwoni jeden z grotolazów z grupy sądeckiej informując, że dziś rano czworo jego znajomych wyruszyło do jaskini Małej z zamiarem przeddeptania ścieżki i odkopania otworu wejściowego. Wzięli oni ze sobą część sprzętu potrzebnego do dalszej eksploracji jaskini ale nie mieli tego dnia zamiaru wchodzić do jaskini. Dalszą eksplorację planowali dnia następnego. Na godz. 22.00 wyznaczili godzinę powrotu na kwaterę. Grupą kierowała Anna Antkiewicz. Sądeczanin poinformował również TOPR, że nie odpowiada telefon komórkowy, który mieli ze sobą grotolazi.

Ratownicy zaczęli zastanawiać się co się mogło stać. Może zbyt długo trwało odkopanie otworu, może nie chcieli schodzić po nocy i biwakują przy otworze. Może wyczerpała im się bateria telefonu

lub akurat nie ma zasięgu. Może zeszła lawina ale przecież nie mogła zabrać ich wszystkich naraz. Przecież do Jaskini Małej chodzili wielokrotnie latem i zimą. Zнали teren, nie mogli popełnić błędu. Prosimy dzwoniącego grotołaza by poszedł do Dol. Kościeliskiej naprzeciw z pewnością schodzącym kolegom.

O godz. 1.00 ponownie dzwoni grotołaz informując, że nie napotkał schodzących kolegów. Co więc mogło się stać?

O godz. 5-tej z Centrali wyrusza ekipa ratowników z zadaniem dotarcia w rejon Chudej Turni, sprawdzeniu czy nie ma śladów prowadzących do Dol. Mułowej.

Ponieważ jest lotna pogoda, przed godz. 8-ma rano dwaj ratownicy i pies lawinowy lecą śmigłowcem Mi-2 w rejon Dol. Mułowej, by sprawdzić z powietrza czy w rejonie otworu nie ma poszukiwanych grotołazów lub śladów ich bytności. W Dol. Mułowej zalegają dziewicze śniegi. Nie ma żadnych śladów. Nie widać by zeszła tam jakaś lawina. Nie ma śladów w Wielkiej Świstówce. W Małej Świstówce widać niewielką (?) lawinę. Śmigłowiec wylatuje na grań by z powietrza odnaleźć ślady trawersujące do Dol. Mułowej. Na grani dostrzegamy kolegów, którzy wcześniej rano na nartach tourowych podchodzili do góry.

Z pokładu śmigłowca dostrzegamy ślady trawersujące strome stoki Uplaziańskiej Kopy. Po chwili widać obryw lawiny. Za obrywem nie ma żadnych śladów. Wszystko zaczyna być jasne – lawina. Śmigłowiec wlatuje do Małej Świstówki, obniża lot. Z jego pokładu widać wyraźnie przeddeptane ślady wyprowadzające z lawiniska. Może nic im się nie stało i schodzą w dół. Ratownicy i pies lawinowy desantują się ze śmigłowca. Śmigłowiec odlatuje. Ratownicy odnajdują częściowo odkopane zwłoki jednego z grotołazów. Na lawinisku sporo porzucanych rzeczy. Plecaki, buty, części garderoby. Dopiero z ziemi widać, że lawina ma blisko kilometr długości. Sonda w czole lawiny nie dochodzi do gruntu. Śmigłowiec dowozi kolejnych ratowników, psy lawinowe, sprzęt. Z dołu dochodzi grupa ratowników, która miała sprawdzić, czy ktoś nie zszedł w dół z lawiniska, bo skąd te wyraźne ślady? Ratownicy dochodzą na lawinisko. Nikogo nie napotkali. Staje się jasne, że cała czwórka znajduje się w lawinie. Lawinisko przeszukują psy, sondują grupy ratowników. Do pomocy w poszukiwaniach przylatują ratownicy słowacy ze swoimi psami lawinowymi. Kolejno odnajdywani są pozostali grotołazi. Wszyscy w czasie spadania doznali śmiertelnych obrażeń.

Jak doszło do wypadku? Cała czwórka wyszła rano przez Gładkie Uplaziańskie celem dotarcia do

Dol. Mułowej. Jak się okazało ostatni kontakt telefoniczny był z nimi tuż po godz. 10-tej. Później telefon nie odpowiadał. Należy przyjąć, że do wypadku doszło tuż po dziesiątej, w chwili gdy cała czwórka weszła w strome północne stoki Uplaziańskiej Kopy. Tam po stronie zawietrznej odłożyła się spora warstwa nawianego śniegu, który odłożył się na twardym, zalodzonej podłożu. Pokrywa nawianego śniegu nie wytrzymała obciążenia. Nastąpiło pęknięcie pokrywy śnieżnej na długości 150-180 m. Grubość obrywu dochodziła do 80 cm. Lawina wciągnęła ich w dół. Przez skałki, głęboki stromy skalny wąwóz polecili w dół zatrzymując się w śnieżnej masie na progu Małej Świstówki. Nikt nie był świadkiem wypadku.

W tym tragicznym wypadku lawinowym śmierć ponieśli: Anna A., Magda J., Daniel R. i Piotr T.

Czy musiało dojść do wypadku? Przecież wielokrotnie chodzili do Jaskini Małej. Może zmyliło ich to, że wokół było mało śniegu, formacje wypukłe były w pobliżu grani prawie całkowicie wywiane. Może chcieli jak najszybciej dojść do otworu i wykonać zaplanowaną pracę. A może LOS tak chciał?

21.02.2004

Sobota, III stopień zagrożenia lawinowego. Od kilku dni po opadach śniegu i wiejącym silnym wiatrem zamknięte zostały szlaki powyżej tatrzańskich schronisk. Wiatr nagromadził sporo nawianego śniegu na stokach zawietrznych zwłaszcza we wszystkich żlebach, jarach kotlinkach.

W takich warunkach znany taternik Krzysztof T., zajmujący się problemem zagrożeń lawinowych i piszący ciekawie o tych zagrożeniach, wybrał się ze swoimi kursantami (klientami?) na wycieczkę, podchodząc Mnichowym Żlebem na Zadnią Galerię Cubryńską i dalej przez Mnichowe Plecy na próg Doliny za Mnichem. Tam jak wieść niesie chciał pokazać swoim kursantom, jak rozkładają się naprężenia w pokrywie śnieżnej na przełamaniu terenu. Najprawdopodobniej zrobił o jeden krok za dużo przecinając pokrywę śnieżną w miejscu jej najmniejszej wytrzymałości. Ruszyła lawina a z nią Krzysztof T. Przez poprzetykany skałami próg Doliny spadł kilkadziesiąt metrów w dół. Szczęściem nie został przysypany, ale w wyniku upadku doznał poważnych obrażeń. Przestraszeni kursanci próbowali nawiązać kontakt głosowy ze swoim instruktorem. Bezskutecznie. Zaniepokojeni, przez telefon komórkowy powiedzieli TOPR. W zapadającym zmroku, w lawiniastych warunkach, 9-osobowa ekipa ratowników wyruszyła na miejsce wypadku. Rannego, wychłodzonego taternika przetransportowano do Morskiego Oka i dalej karetką do zakopiańskiego szpitala, zaś kursantów przez Nadspady sprowadzono do schroniska.

Wspinanie? Od tego się odchodzi...

Zbigniew Piotrowicz



Publiczność IX Przeglądu Filmów Górskich w Łądku Zdroju obejrzała ponad czterdzieści filmów i wybrała film... najmniej górski. „Wspólny lot” autorstwa Mirosława Dembińskiego jest historią młodego wrocławskiego paralotniarza. Po wypadku podczas lotu jest on sparaliżowany, porusza się na wózku. Nie przestał jednak uprawiać dyscypliny, która doprowadziła do kalectwa. Lata dalej, ponieważ w powietrzu jego dolegliwość przestaje mieć znaczenie. Nie jest to film o kolejnym tzw. ciekawym człowieku. Dembiński, twórca filmowy z niemałym dorobkiem i stażem, nie dał się uwieść nęcącej konwencji w potraktowaniu tego tematu. Stworzył obraz o ludzkiej godności, o przeżywaniu życia i o umiejętności otwierania swego, czasem bardzo intymnego świata emocji i fascynacji dla innych.

Wśród ulubionych filmów publiczności znalazła się także produkcja słowacka „Omo – podróż do przeszłości” autorstwa P. Barabaša – relacja z pierwszego splywu mało znaną rzeką przecinającą Wyżynę Abisyjską. Kilkutygodniowa i niebezpieczna wyprawa przez skalne progi i przełomy rzeki była jednocześnie podróżą w czasie do epoki pierwotnej. Publiczność wyróżniła także dwie inne produkcje: „Russian Extreme Project 2” (reż. Walery Rozow, Rosja) i „W stronę Grzmiącego Smoka” (reż. Sean White, Kanada). Wybrane filmy mają jedną wspólną cechę – góry stają się tłem dla coraz bardziej niekonwencjonalnych dyscyplin. Jest to zjawisko wyraźnie widoczne, jeśli prześledzi się repertuar łądeckiego Przeglądu w ostatnich latach. Relacje ze zdobywania gór znalazły się w wyraźnej mniejszości. Coraz częściej oglądamy wyrafinowaną pogoń za adrenaliną.

We wstępie do katalogu Przeglądu postawiłem nieco prowokacyjną tezę, że wspinanie staje coraz bardziej archaiczną formą górskiej aktywności. Zdecydowanie nie zgodził się z takim punktem widzenia Piotr Pustelnik, uczestnik i współorganizator łądeckich spotkań. Coś jednak jest na rzeczy. Coraz wyraźniej widać, że zdobywanie szczytów i skalnych urwisk to miniony wiek XX. Dzisiaj góry się „konsumuje” w bardziej lub mniej wyszukany sposób. Romantyczny

heroizm, tak bliski naszej polskiej naturze, widać już wyłącznie w filmach archiwalnych. Pozostała zabawa: im bardziej niebezpieczna lub śmieszna, tym lepiej.

Przeglądowi Filmów Górskich towarzyszyły jak zwykle inne wydarzenia. Spotkanie uczestników zimowej wyprawy na K2 przyciągnęło prawdziwe tłumy. Wspólnie z publicznością obejrzała ona, po raz pierwszy zresztą, dwie relacje filmowe z tej najbardziej medialnej polskiej ekspedycji. Zdecydowanie najżywiej komentowane były sceny z życia bazowego, a zwłaszcza desperacka próba przerabiania czełkanem bloku sera, o którym u nas mówi się po prostu „zółty”. Były też kierowane bezpośrednio do Krzysztofa Wielickiego pytania o szanse na sukces na tej górze. Zdaniem lidera wyprawy wierzchołek K2 zostanie osiągnięty, gdy silny i wypoczęty zespół dotrze pod wierzchołek w pierwszej połowie zimy. Kluczem do sukcesu będzie umiejętność pokonania ostatnich 800 metrów podczas krótkiego, zimowego dnia.

Oklaskami młodej publiczności przyjęte zostały dwa filmy, które nabrały już wartości archiwalnej: „Kangbacheń zdobyty” i „Dwa razy 8 i pół” (reż. Sz. Wdowiak) o zapomnianych niestety, wielkich polskich sukcesach w górach najwyższych. Kierownikiem tych wypraw był Piotr Młotecki, swego czasu rywalizujący z Andrzejem Zawadą o himalajskie sukcesy. Dzisiaj obaj już nie żyją. Andrzej Zawada, patronujący obecnie, Przeglądowi zmarł w roku 2000, Piotr Młotecki odszedł od nas w czerwcu br. Niegdyśjsze spory o sposób uprawiania himalaizmu przestały mieć znaczenie. Dzisiaj już wiemy, że obaj mieli rację i że to dzięki nim Polacy wykorzystali ostatni moment, aby zostawić swój ślad w historii zdobywania najwyższych gór.

Wśród tzw. imprez towarzyszących najwięcej zamieszania narobił koncert „Raz Dwa Trzy”. Komplet sprzedanych biletów, zajęte wszystkie miejsca stojące, obrażeni dziennikarze (mieliczni) za to, że nie mogli wejść za darmo i tłum sfrustrowanych spryciarzy, którzy używali wszelkich forteli, aby jakoś dostać się do środka. W tej nieco nerwowej atmosferze rozpoczął się występ,

który trwał godzinę dłużej niż planowano. Był po prostu magiczny. Muzycy też stwierdzili, że od kilku tygodni nie mieli tak udanego koncertu i tak kontaktowej widowni.

Drugi koncert według powszechnej opinii nie był już tak udany. „Leszcze” i Maciej Miecznikowski pokazali, że potrafią się bawić dansingową estetyką lat siedemdziesiątych doprowadzając do karykaturalnej formy niektóre sceniczne numery. Niestety, nie bardzo docenili publiczność, która w tym przypadku była nieco bardziej wymagająca, niż przeciętni widzowie-kuracjusze w prowincjonalnym uzdrowisku. Kawaly i monologi Miecznikowskiego, skądinąd sympatycznego człowieka, były zdecydowanie mało lotne.

Doskonale sprawdzili się zabawy w sztuczną jaskinię, mosty linowe, mistrzostwa w bungee i tradycyjny rajd terenowy, tym razem po Górach Żółtych i ze zwiedzaniem Jaskini Radochowskiej.

Przegląd Filmów Górskich nigdy nie był wydarzeniem komercyjnym i nigdy nie będzie wielkim

międzynarodowym festiwalem. Od jakiegoś czasu stał się jednak zjawiskiem socjologicznym. Bo czyż w innym miejscu możliwe jest, aby po nocnej, plenerowej projekcji (zimno!) publiczność domagała się puszczenia wszystkich filmów od początku? Tak było podczas prezentacji najzabawniejszych filmów górskich na zaaranżowanym na czas Przeglądu polu namiotowym. Pod rozgwieżdżonym niebem siedziało na ławkach, karimatkach i śpiworach ok. 300 widzów!

Od dwóch – trzech edycji Przeglądu wiemy z całą pewnością, że pojemność ładeckich sal projekcyjnych jest barierą, którą musimy jakoś pokonać. W tej formie, jaka do tej pory była stosowana, Przegląd doszedł do granicy możliwości organizacyjnych. Zareczam, że na pewno coś wymyślimy, a już teraz zapraszam na kolejną, jubileuszową, dziesiątą edycję imprezy. Będzie trwała o jeden dzień dłużej i zaplanowana jest na 23-26 września.

Informacje o Przeglądzie i serwis zdjęciowy na www.przeglad.ladek.pl

Trzynastka, wcale nie tak pechowa...

Piolet d'Or – Złoty Czekan. Wiadomo, mowa o prestiżowym wyróżnieniu za najlepsze i najbardziej znaczące realizacje górskie danego roku a przyznawane we Francji przez Montagnes Magazine. Jak każdego roku redakcja wraz z GHM (Groupe de Haute Montagne) wyselekcjonowała za rok 2003, tym razem szczęśliwą siódmkę. Siedem realizacji, które zaznaczyły rok 2003 w świecie góskim.

To już po raz trzynasty odbyła się uroczystość wręczenia Piolet d'Or, tym razem ten zjazd odbył się w Grenoble z początkiem lutego. W mieście otoczonym ośnieżonymi Alpami, o duchu i klimacie sportowym, z siedzibą redakcji Montagnes Magazine.

Trzynastka, niby taka liczba przesadna i zabobonna, ale chyba nie dla naszego młodego alpinizmu. Bo oto po raz drugi w historii Złotego Czekana nazwiska polskie zostały nominowe do tej zaszczytnej nagrody. Dla przypomnienia, w roku 1996 Krzysztof Wielicki zainaugurował obecność alpinizmu polskiego na podium wydarzeń roku. Był zaproszony do tej ścisłej grupy wybranych alpinistów po swoim zdobyciu K2 filarem północnym oraz samotnym wejściu na Nanga Parbat. Co bywa sztuką i rzadkością w dzisiejszym tłumie himalajskim.

Tym razem to zespół: Marcin Tomaszewski i Krzysztof Belczyński oraz towarzyszący im fotograf Dawid Kaszlikowski, zostali wyróżnieni za przejście nową drogą ściany Citadela na Alasce.

Faktem jest, że to trzynaste spotkanie najlepszych z najlepszych w roku 2003 odbyło się pod barwami bardzo lokalnymi, bo aż trzy nominacje były francuskie.

Zespół Stéphane Benoit i Patrice Glairon-Rappaz nominowano za przeprowadzenie nowej



Jurij Koszelenko, Jean Troillet i Walerij Babanow.

Fot. M. Fromenty-Bilczewska

drogi One Way Ticket na Thalay Sagar. (patrz „Taternik” 1/2004, str. 53).

Rewelacja, którą może sprawiło tylko oczarowanie młodej publiczności przez dwóch młodych, mających po 25 lat, Aymeric Clouet’a i Didier Jourdaina, była ich nominacja za zrobienie dwóch nowych dróg na Chacararaju i Jirishanca w Peru. Styl obydwu dróg, według modnego powiedzenia, określono na very cool. Klasycznie (drytoolingowo) dokonano przejścia drogi na Chacararaju (800 m, V, WI 5+, M 6), również droga Tambo, churros y amigos na Jirishanca wymagała niezłej gimnastyki. Zawierała duże trudności w wapiennej skale (6c - 7a, A2, lód 90o) i wymagała 5 biwaków w ścianie. I jakby im było mało – pomiędzy dwiema drogami spędzili kilka dni na zabawach boulderowych. A może ich filozofia ściągnęła uwagę młodych? W każdym razie reprezentowali jak najbardziej nurt młodego pokolenia...

Nominacja Jean-Christophe Lafaille’a za trylogię himalajską: solowe wejście na Dhaulagiri, Nanga Parbat nowym wariantem od strony Damiar oraz wejście zwykłą drogą na Broad Peak, była kwestionowana nawet przez środowisko alpinistów francuskich.

Wyjaśnienia prezesa GHM i członka komisji Piolet d’Or 2003, Huberta Giot’a, którego słowo liczy się zarówno w selekcji, jak i w ostatecznym przyznaniu nagrody, były jasne: „Jeśli chcemy, aby każda materia czy rodzaj alpinizmu był reprezentowany w nominacjach, również ten na ośmiu tysiącach, to osiągnięcie J.-Ch. Lafaille’a było najbardziej zauważalne i najbardziej brawurowe w roku 2003. Co innego tak interesującego było w tym roku?”

Było z pewnością, ale nie na ośmiotysięcznikach. Chociażby przejście północno-zachodniej grani Annapurny III (7555m) przez dwóch Anglików Iana Parnell’a i Kentona Cool’a oraz Amerykanina Johna Varco. Grań o przewyższeniu 2400 m prowadzi bezpośrednio do szczytu. Zespół potrzebował na jej zdobycie 10 kolejnych dni, wspinając się czystym stylem alpejskim i klasycznie. Dopiero po piątej próbie powstała nowa droga o wyjątkowej estetyce.

Faworytami i clou programu byli Rosjanie Walerij Babanow i Jurij Koszelenko. Trzecia z rzędu próba Babanowa na południowym filarze dziewięcioletniego szczytu Nuptse East i zrobienie nowej drogi w stylu capsul, pozwoliła mu wziąć udział w ceremonii Piolet d’Or

2003 w charakterze faworyta. Można powiedzieć, że ten rosyjski alpinista jest stałym bywalcem kolejnych uroczystości. Kilka razy wyróżniony, został laureatem Złotego Czekana’2001 za samotne zdobycie pn. ściany Meru Central w Himalajach Garhwalu. Jurij Koszelenko, partner Walerija z roku 1998, gdy obaj poprowadzili drogę Lena na Dru, też nie jest nową twarzą spotkań podczas tej ekskluzywnej uroczystości. Jako członek rosyjskiej wyprawy na Lhotse Central, nominowanej do Piolet d’Or’2001, bawił już wśród zaproszonych gości.

Siódmym zaproszonym zespołem była trójka Anglików: Stuart McAleese, Ollie Sanders i Twid Turner, która działała nie tylko w tym samym rejonie Alaski co nasz zespół, Kichatna Range, ale nawet na tej samej ścianie Citadel (patrz „Taternik” 1/2004, s.53). Różnica jest taka, że zespół angielski poprowadził drogę lodową Super Dupa Couloir, w przeciwieństwie do Polaków, którzy zrobili drogę skalną. „To couloir de glace, ściek lodowy, idealnie prostoliniowy, stromy i trudny technicznie – zdanie Twida Turnera wyraża zwięźle charakter drogi – „droga, o której wspinacz marzy aby choć raz poprowadzić taką w swym życiu”.

Komisja Piolet d’Or, zebrana w godzinach rannych po wysłuchaniu wszystkich nominowanych, po długich debatach wybrała szczęśliwy zespół. Wieczorem, po show alpinistów, którzy prezentowali swe realizacje publiczności, przewodniczący komisji Jean Troillet ogłosił nowych laureatów: Walerij Babanow i Jurij Koszelenko są zdobywcami Złotego Czekana za rok 2003!

Małgorzata Fromenty-Bilczewska



Marcin Tomaszewski, Autorka i Ollie Sanders

Arch. M. Fromenty-Bilczewska

50 lat podboju najwyższych szczytów w filatelistyce

Zanim zdobyto Mount Everest trwały również intensywne, często bardzo udane próby na wszystkich ośmiotysięcznikach w Himalajach i Karakorum. Historia ich podboju znana jest nam z literatury. Dziś skieruję swą uwagę na to, jak uczczono ich zdobywanie w filatelistyce. Pierwszym wejściom w latach 1953 – 57 poświęcono znaczki które wydano w: Indiach – Mt Everest, Pakistanie – K2, Austrii – Gasherbrum II, Japonii – Manaslu i Włoszech – kasowniki z K2.



W roku 2003 cały świat przygotowywał się do przypadającej wtedy 50 rocznicy zdobycia najwyższej góry świata – Mount Everestu.

W cieniu tej rocznicy pozostały inne osiągnięcia jak wcześniejsza 50 rocznica zdobycie pierwszego ośmiotysięcznika przez wyprawę z Francji (w 2000 r. Francja wydaje znaczek pocztowy poświęcony temu wydarzeniu – nie zrobiono tego w 1950r.). Na następne wydania pocztowe czekaliśmy jednak do 2003 roku. Obecnie jesteśmy w 2004 r. i śmiało możemy powiedzieć – z dużej chmury mały deszcz. Zaledwie siedem państw uczciło to wielkie wydarzenie jakim była 50 rocznica zdobycia Mt Everestu. Były to:

Indie – znaczek i ozdobny bloczek na bazie tego samego widoku – Khumbu i Kocioł zach.;

Indonezja – ozdobny arkusik z 6 wulkanami tegoż państwa; w środkowej części widok klasyczny na Mt Everest od strony Nepalu i napis „50 rocznica zdobycia Mt Everestu 29 maj 1953”;

Monaco – znaczek z podobizną Edmunda Hillary’ego i widokiem na Mt Everest od strony Kotła Zachodniego;

Nowa Zelandia – 2 znaczki, na jednym portret Tenzinga Norgaya i dwójka wspinających się alpinistów, na drugim widzimy E.

Hillary’ego i co? No właśnie – Makalu a nie Mount Everest. Uzupelnieniem tej serii jest ładnie zaprojektowany arkusik składający się z 10 znaczków omówionych wyżej, z mapą Nepalu i zaznaczonymi czterema(!) szczytami ośmiotysięcznymi;

Nepal – 1 znaczek – widok na Kocioł Zachodni od strony lodowca Khumbu;

Serbia – 1 ozdobny bloczek z dwoma znaczkami przedstawiającymi Mount Everest, lodowiec Khumbu i alpinistę (w powiększeniu) na ścianie Nuptse.

Wielka Brytania – 1 znaczek – dwóch wspinających się alpinistów a na horyzoncie – Makalu (także zeszyty znaczkowy).

Niestety, tak jak przy wydawaniu znaczków z okazji Międzynarodowego Roku Gór tak i tu popełniono sporo błędów (Indie, Nowa Zelandia) – a przecież zawsze mówiło się, że „znaczek uczy i bawi”. Błąd zawarty na znaczku i bloku Indii jest wyjątkowo kuriozalny – ponad widoczny w głębi Kotła Zachodniego wierzchołek Lhotse, wmontowano powiększony wizerunek kopuły szczytowej Everestu!!! Jeszcze bardziej dziwi brak profesjonalizmu na znaczkach Nowej Zelandii, kraju pierwszego zdobywcy Mount Everestu.

Rok 2003 przyniósł jeszcze jedno wydanie rocznicowe – w Pakistanie znaczek poświęcony zdobyciu Nanga Parbat. Co przyniesie w tej dziedzinie rok 2004? Zapowiadane jest wydanie w Pakistanie jednego znaczka z okazji zdobycia K2. Poczta włoska jak na razie milczy – może będą tylko kasowniki pocztowe jak to było w 1954 r.

Mieczysław Rożek



Dwa głosy o nowym przewodniku

Karol Życzkowski i Józef Wała: Narciarstwo Wysokogórskie w Polskich Tatrach Wysokich. Wyd. „Sklep Podróżnika”, Warszawa 2004. Stron 214.

Wraz z modą na ski-extreme, normalną koleją rzeczy pojawiła się w naszym środowisku chęć do upamiętnienia tych „szalonych zjazdów”, a jednocześnie i chęć ich usystematyzowania, w formie początkowo luźnych skryptów, a w końcu i „całościowego” przewodnika. Realizacji tego zadania podjęli się Karol Życzkowski i Józef Wała z KW Kraków, w znacznym stopniu opierając się na opracowaniach dokonanych wcześniej przez Henryka Wenerskiego z KW Warszawa. W ten sposób powstała bardzo szczegółowa monografia „Narciarstwo Wysokogórskie w Polskich Tatrach Wysokich”. Jest ona rozwinięciem wcześniejszej, nie obejmującej jeszcze narciarstwa ekstremalnego pracy Władysława Midowicza „Turystyczne trasy narciarskie Tatr Polskich” z 1977 roku.

Przeglądając opisy kilkuset zjazdów (najkrótsze z nich, jak np. z Gładkiej Przełęczy, mających zaledwie po kilkadziesiąt metrów deniwelacji), można się zapytać czy aż tak szczegółowy przewodnik jest nam potrzebny? W końcu cały omawiany w nim rejon można „oblecieć” na nartach w jeden dzień, idąc głównie po słowackiej stronie Grani Głównej Polskich Tatr Wysokich i konsultując co najwyżej mapę. Czego autor niniejszej recenzji kilka razy dokonał i co zapoczątkowali, jak podają autorzy przewodnika, już w 1926 roku Henryk Bednarski i Kazimierz Schiele. Z tego powodu dla autora niniejszej recenzji ten właśnie „historyczny” aspekt omawianego przewodnika wydał się najciekawszy, jako że stopień trudności planowanego zjazdu doświadczeni narciarze są w stanie wycenić „na oko”, bezpośrednio przed podjęciem decyzji o zaangażowaniu się w to, częstokroć bardzo ryzykowne przedsięwzięcie. Niektórych przygód narciarskich żaden papierowy przewodnik nie jest w stanie przewidzieć i z tego powodu informacje zawarte w publikacjach tego typu są zawsze niepełne. Ale na tym właśnie polega urok wycieczek narciarskich, także tych ekstremalnych.

Jeśli chodzi o zastosowanie praktyczne w terenie, to przewodnik Życzkowskiego i Wali dostarcza istotnych informacji o możliwości zjazdu w terenach, na które patrząc z doliny „własnymi oczami” nie dostrzega się od razu jak się przez nie przemknąć na nartach. Dotyczy to zwłaszcza całego muru Miękuszwieckich Szczytów oraz Cubryny w rejonie Morskiego Oka, a także północnej strony Orlej Perci. Trochę szkoda, że autorzy zrezygnowali z zaznaczenia kropkami,

względnie krzyżykami, tak jak to się robi na mapach i mapkach narciarskich szlaków alpejskich, miejsc wskazujących gdzie się znajdują kluczowe trudności zjazdu, na przykład przy „ześlizgnięciu się” z Wielkiej na Małą Galerię Cubryńską, co zaznaczone jest tylko w tekście. Większość jednak opisanych zjazdów, dla patrzącego z doliny narciarza, ma dość ewidentny charakter i trochę szkoda, że autorzy nie rozszerzyli swego przewodnika na cały rejon Tatr Polskich, kosztem wielu banalnych zdjęć, na przykład trasy zjazdu/ześlizgu/zejścia z Koziej Przełęczy do Pustej Dolinki.

Jak każda monografia, omawiany przewodnik – który po angielsku winien być anonsowany raczej jako „Ski Extreme” a nie „Ski Touring in the Polish High Tatras” – ma swe niedociągnięcia, na przykład – w trakcie stromego, krótkiego podejścia od Czarnego Stawu Gąsienicowego do Zmarzłego Stawu, mniej doświadczeni narciarze zdejmują narty, by pokonać to miejsce na butach, a niektórzy zdejmują tam narty także i w zjeździe (droga 4.11). Autorzy zaś wycenili nachylenie stołu w tym miejscu tylko na 21o, czyli na teren po prostu łatwy...

Osobną sprawą jest sama klasyfikacja trudności zjazdów, opracowana według sześciopunktowej skali zaproponowanej przez Henryka Wenerskiego. Porównując tę skalę z analogicznymi, sześciopunktowymi skalami używanymi w przewodnikach alpejskich, odnosi się wrażenie że polska wersja zbyt słabo rozróżnia trudności u dołu skali, gdzie na przykład zjazd z Niżnich Rysów (nachylenie max 42o) oceniony jest tylko na +2, podczas gdy w Alpach oceniono by go o punkt wyżej. Ale to jest tylko szczegół, w każdym kraju zasady oceny są trochę inne.

Jeśli już wytykam błędy autorów, to z rozmowy z dyrektorem TPN dowiedziałem się, że ma ona żal za umieszczenie opisów tras zjazdów z Miedzianego i Opalonego Wierchu, od lat zamkniętych dla narciarzy. Przecież wszystkie ewentualne ześlizgi można tam wypatrzeć ze schroniska, zaś umieszczenie ich w przewodniku automatycznie zachęca do ich powtórzenia, przez co nie tylko straszy się lokalną faunę, ale i naraża „zjazdowca” na ewentualną pieniężną karę.

Do przewodnika dołączono około 25 stron rozmaitych porad praktycznych dla narciarzy ruszających w Tatry Wysokie, w tym i kompendium

wiedzy na temat lawin. W sumie powstała dość zgrabna książeczka, która recenzenta zaciekała zwłaszcza swymi przypisami, przypominającymi wyczyny bohaterów już stulecia narciarstwa w Tatrach. Szczególnie tutaj zaimponował „szus”, nieznanego mi wcześniej Henryka Mückenbruna, dokonany już w 1926 roku z przełęczy Karb na taflę Czarnego Stawu Gąsienicowego.

Omawiany przewodnik jest ciekawym zestawieniem większości interesujących zjazdów narciarskich po północnej stronie Tatr, wzbogaconym o różne dodatkowe informacje dotyczące m.in. schronisk, sprzętu, zimowych niebezpieczeństw, zawodów i literatury. Niezwykle trafne i na miejscu są zawarte we wstępie uwagi dotyczące ochrony tatrzańskiej przyrody.

Przewodnik napisany jest z wielką precyzją i dokładnością. Detalicznie (ale nie zawsze prawdziwie) przedstawia prawie wszystkie możliwe parametry opisywanych zjazdów. Dobre, w większości czarno-białe zdjęcia, oraz precyzyjne rysunki i znakomite mapki z wrysowanymi liniami zjazdów przybliżają Czytelnikowi przebieg każdego z nich. Przy trudniejszych lub tych bardziej historycznych zjazdach Autorzy podają nazwiska (niestety, nie zawsze prawdziwe) pierwszych narciarzy, którzy te trasy pokonali. Opisy wzbogacone są o różne komentarze historyczne oraz anegdotki. Ciekawy i w większości dobrze napisany jest rozdział poświęcony lawinom i innym niebezpieczeństwom. Istotnym, ale niezbyt obszernym, ułatwieniem dla potencjalnych użytkowników obcojęzycznych, jest angielskie podsumowanie przewodnika.

Jak w każdym tego typu przewodniku, udoskonaleni i poprawki można by wnieść całe mnóstwo. Patrząc na przewodnik okiem praktyka, który mało pisze ale za to o wiele więcej jeździ, zauważam oczywiście różne nieścisłości lub wręcz mankamenty, które w następnych wydaniach będą zapewne poprawione.

Chcąc pomóc Autorom udoskonić ich dzieło w przyszłości – kilka krytycznych uwag:

- Parametry zjazdów są nazbyt szczegółowo rozbite na zbędne nieraz detale. Najbardziej niepotrzebnym i bardzo mało mówiącym szczegółem jest średnie nachylenie zjazdu.

- Opisy niektórych zjazdów – szczególnie tych, których przebiegu Autorzy nie znają – są nieprecyzyjne i nie odzwierciedlają właściwego ich przebiegu. Podobnie rzecz ma się z wrysowaniem tychże zjazdów na zdjęciach.

- Przy niektórych trudniejszych zjazdach brak jest informacji o ściąganiu nart w trakcie zjazdów

Autorzy tego opracowania zapowiadają, że „dopiszą” część drugą swej pracy, poświęconą polskim Tatom Zachodnim. Jeśli Słowacy też wykażą się podobną skrupulatnością, to na starość, do przegładania (przy nie istniejącym jeszcze kominku) będę miał już całą biblioteczkę, obejmującą oczywiście i Alpy, gdzie spędziłem na nartach zim blisko dwadzieścia.

Marek Głogoczowski

przez ich autorów. Zamiast „10 m w rakach” Autorzy przewodnika piszą np. „50 m w rakach”; przy trudnym zjeździe to nie jest to samo.

- Pominęto gdzieś nazwiska narciarzy, którzy dokonali pierwszych zjazdów, zastępując je nazwiskami tych, którzy powtórzyli te zjazdy o wiele później. Autorzy, lub może tylko jeden z nich, przypisuje sobie niektóre pierwsze zjazdy, pomimo iż ich łatwość musi uzmysławiać, iż jeżdżono tamtędy „od zawsze”.

- Zdjęcia obrazujące tematykę przewodnika są często zbyt statyczne. Część z nich jest wręcz do siebie podobna.

- Rozdział o sprzęcie napisany jest tak, jakby przewodnik miał służyć początkującym. W moim przekonaniu książka w żadnym wypadku nie jest godna polecenia dla tej grupy czytelników, z oczywistych powodów.

- Rozdział dotyczący niebezpieczeństw także wymaga niewielu ale jednak istotnych poprawek i udoskonaleni. M.in. na str. 192 Autorzy piszą, że (...) na stokach o nachyleniu powyżej 38o zagrożenie (lawinowe) maleje (...). Błąd na wagę życia – wiadomo, że zagrożenie rośnie aż do co najmniej 50o nastromienia. Stąd zalecenia w literaturze fachowej dot. rezygnacji z większych (40o i więcej) stromizn już od II stopnia zagrożenia lawinowego. Przy omawianiu skali stopni zagrożenia lawinowego Autorzy, pomimo iż są rzetelnymi znawcami tematu, niestety, nie ustrzegli się powielenia niektórych błędów pokutujących w naszych oficjalnych tłumaczeniach.

- Kolejnym, obalonym przez znawców już lata temu mitem, który ostał się niestety w przewodniku, jest zalecenie ściągania nart w miejscach niebezpiecznych. Nic błędniejszego, Koledzy narciarze!

Pomimo tych nielicznych uwag krytycznych uważam przewodnik za godną polecenia pozycję dla każdego, kto interesuje się tą tematyką. Liczę że Autorzy przyjmą moje uwagi praktycznie i wykorzystają je w następnych wydaniach przewodnika.

Piotr Konopka

Anna Antkiewicz (1953–2004)

28 stycznia 2004 r. na zawsze odeszła za Wielką Grań jedna z najbardziej znanych i lubianych grotolazów. Urodziła się w Nowym Sączu 27 lipca 1953 r. Ukończyła II LO w Nowym Sączu. Studiowała geologię na Uniwersytecie Warszawskim i ze względu na specjalizację (geologia morza) również na Uniwersytecie Gdańskim. Nigdy nie pracowała w zawodzie. Od 1993 r. prowadziła własną firmę „Karramba”, która pozwalała jej na częste przebywanie w górach i jaskiniach.

Górami zainteresowała się w czasach licealnych, chodziła z siostrą i koleżankami ze szkoły. Gdy tylko napotykała jaskinię ciągnęło ją, by tam zajrzeć i zaglądała. Potem były Tatry, najpierw wycieczki turystyczne, a później coraz bardziej ambitne przejścia, tak latem, jak i zimą.

Na studiach zainteresowała się poważnie jaskiniami. Ukończyła kurs taternictwa jaskiniowego w Sekcji Taternictwa Jaskiniowego KW Warszawa, a następnie także kurs taternictwa powierzchniowego w Betlejemce – COS PZA na Hali Gąsienicowej. Wtedy bardziej myślała o wspinaniu na powierzchni, choć z Betlejemki „urwała się” z koleżankami, by pójść do Jaskini Magurskiej. Wtedy jaskinie tatrzańskie nie zachwyciły jej, bo uważała, że taternictwo jaskiniowe to sport dla masochistów. O pierwszej akcji mówiła „w Wielkiej Litworowej byłam rozczarowana. Działaliśmy w deszczu, mieszkaliśmy w nieogrzewanej bazie i mowy nie było o porządnej regeneracji sił, o wysuszeniu swetrów a przecież jestem kobietą”. Jednak późniejsza akcja w Jaskini Śnieżnej - z 63 metrową Wielką Studnią, potokiem podziemnym i pięknymi formami erozyjnymi – zmieniła jej ocenę, sprawiła że zakochała się w jaskiniach. W 1981 r. ukończyła kurs instruktorski i otrzymała stopień pomocnika instruktora, a w 1986 została instruktorem taternictwa jaskiniowego. W międzyczasie zmieniła klub macierzysty, najpierw był to Akademicki Klub Speleologii i Alpinizmu w Zabrzu, a później Katowicki Klub Speleologiczny. Wiele czasu poświęcała wychowywaniu córki, ale najważniejsze były dla niej wyjazdy do jaskiń. W 1979 r. uczestniczyła w I przejściu jaskini Antro del Corchia (deniwelacja 950 m) i II przejściu Abisso Fighiera do –830 m. W 1981 r. zorganizowała i kierowała pierwszą, i jak do tej pory jedyną, wyprawą kobietą do najgłębszej ówczesnie studni jaskiniowej Europy – Prowatiny –395 m. Wtedy też przeszła jaskinię Abisso Michele Gortani do –892 m. Później

uczestniczyła w wyprawach eksploracyjnych w Picos de Europa, Alpy Apuańskie, Julijskie i Salzburskie oraz na Kaukaz. Podczas tych wypraw brała udział w eksploracji i dokumen-



tacji wielu jaskiń, nie przekraczały one jednak głębokości 300 metrów. Najgłębszymi były Buco del Malachite (–288 m) w Alpach Apuańskich i Aligotte (–282 m) w masywie Bzyb. Wyprawy były dla Niej oderwaniem się od szarej rzeczywistości tamtych lat. Równocześnie prowadziła działalność w Tatrach, m.in. uczestniczyła w eksploracji Jaskini za Siedmiu Progami, a także Bańdziocha Kominiarskiego. Ta ostatnia stała się wtedy jedną z jej ulubionych jaskiń, a poznała ją tak dobrze, że aż imponowała innym znajomością wszystkich jej ciągów.

Później wraz z mężem, Krzysztofem Hancbagem, przeniosła się do Nowego Sącza. Tutaj w 1984 r. założyli oni Sądecki Klub Taternictwa Jaskiniowego PTTK przy Oddziale PTTK „Beskid”. Anka została Prezesem Klubu i pełniła tę funkcję aż do śmierci.

W 1990 r. uczestniczyła w wyprawie centralnej w masyw Hoher Göll, gdzie brała udział w eksploracji Koboldschacht (do ok. –400 m) i Radfahrerhöhle (do ok. –200 m), a także wielu mniejszych obiektów. Rok później eksplorowała Koboldschacht, którą pogłębiono wtedy do –677 m. Mimo trudności zorganizowała wyjazd klubowy do tej jaskini w 1993 r., ale przybór wody skutecznie uniemożliwił eksplorację w okolicach dna.

Dzięki niej organizowane były biwaki w Wysokiej, uczestniczyła tam w odkryciu i pomiarach Piekielka, a także próbowała pokonać zamulony Korytarz Ogrodników.

Nie zaniedbywała działalności sportowej. W 1988 r. kierowała przejściem wszystkich 7 den w Bańdziochu Kominiarskim - było to przejście łącznie ok. 1440 m deniwelacji. W następnym roku kierowała pierwszym przejściem do dna Śnieżnej Studni (–692 m) bez biwaku i z poręczowaniem. Najważniejsza dla niej

jednak pozostawała eksploracja, bo jak mówiła „to jest to, po co warto chodzić po dziurach”.

Od jesieni 1990 r., kiedy to członkom Klubu udało się dołączyć jaskinię Nad Dachem do Ptasiej Studni, eksploracja Ptasiej stała się dla Niej ówczesnym celem życia. Razem z nią odkryliśmy tam m.in. Wielkiego Kłamcę, największe jezioro podziemne w Tatrach. Potem były kolejne biwaki, które przyniosły kolejne metry jaskini i wykonanie setek pomiarów, dzięki którym można było wreszcie sporządzić dokumentację tej jaskini. Anka była motorem napędowym tych działań. Kiedy w 1994 r. skończył się etap dużych odkryć w Ptasiej, Anka powiedziała - „zostawmy jeszcze coś dla następców”. Ale żyłka eksploratora nie dawała jej spokoju. Dopingowała nas byśmy wspieli się tam w Sali Dantego, a w 2000 r. sama sprawdziła jeszcze raz okolice Sali Gwiazdeczki, co dało odkrycie Sali Słoneczka... Dzięki niej powstała dokumentacja całej Ptasiej Studni - przy pomocy członków klubu dokonywała pomiarów jaskini, a sama sporządziła setki szkiców, by później w domowym zaciszu na ich podstawie narysować plan i przekrój. Ta tytaniczna praca możliwa była między innymi dlatego, że miała niesamowitą wyobraźnię przestrzenną i doskonałą pamięć.

Przez lata szkolila adeptów taternictwa jaskiniowego, najpierw razem z mężem, a po rozstaniu z nim, od 1993 r. sama. Zараżała swą pasją kolejne pokolenia, ciągle była pełna życia. Wszędzie widać było jej uśmiechniętą twarz, mimo że wykonywała ogromną pracę, by Klub jakoś funkcjonował. Nikomu jednak nie skarżyła się na jej nadmiar. Zaszczepiała w nas, że trzeba zawsze dążyć do jakiegoś celu, choćby wydawał się nieosiągalny. Przekonywała innych, by uzyskali uprawnienia instruktorskie. Dzięki temu w Klubie przybywało instruktorów. Ostatnio czuła się już zmęczona działalnością i zastanawiała się nad przejściem na „jaskiniową emeryturę”. Kiedy jednak przyszedł upragniony sukces i puściło nam w Jaskini Małej w Mułowej, jej wszystkie plany „emerytury” poszły w ką. Razem z Nią cieszyliśmy się jak dzieci, ostrzyła sobie zęby na kolejne metry głębokości, długości oraz możliwość wymyślania nazw kolejnych fragmentów jaskini. Potem przyszedł czas pomiarów, a później opracowania planów i przekrojów, choć teraz było już nieco łatwiej, bo rozwój techniki zrobił swoje, ale i tak wymagało to sporego wysiłku. Natychmiast po powrocie z jaskini chciała wiedzieć jaka była głębokość i jak wyglądał ciąg pomiarowy, a dopiero potem

zaczynała się rozpakowywać. Gdy na początku 2003 media rozpętały burzę po publikacji w „Gazecie Wyborczej” odkryć w Jaskini Małej cieszyła się, nie z tego, iż może udzielać tylu wywiadów, ale z tego, że przyjdą nowi kursanci, łatwiej będzie załatwić wiele spraw, że może ktoś zechce wspomóc nasze działania. To ona wpadła na pomysł zdobycia sponsora i nazwania tej ogromnej sali Salą Fakro. Wielu miało jej to za złe, ale odpowiadała na to „zawsze gdy robisz coś niesza-blonowego rodzi to kontrowersje, a czas pokaże czy było warto”. Niedługo potem kierowany przez Nią zespół eksplorujący Jaskinię Małą otrzymał „Kołosa 2002” w kategorii jaskiń. 20.09.2003 r. na Nadzwyczajnym Walnym Zjeździe PZA została „za dokonania sportowe” wyróżniona pamiątkowym medalem. Jej imię (Studnia Anki) nosi pierwsza większa studnia w Jaskini Małej, została też upamiętniona w nazwie najgłębszej tam studni (Czesanka).

Od lipca 2003 r. do początku stycznia 2004 r. uczestniczyła w kolejnych odkryciach w Jaskini Małej, które doprowadziły do przekroczenia głębokości -500 m. Niestety nadszedł ten tragiczny dzień, gdy w czasie podejścia pod otwór tej jaskini zeszła lawina i zabrała nam naszą Prezesową, a razem z Nią jeszcze trójkę naszych przyjaciół. W chwili, gdy nie ma Ani wśród nas przychodzi pytanie, dlaczego, dlaczego wtedy, dlaczego tak? I może tylko słowa naszej Gaździnki, u której mamy bazę, że „na śmierć w górach trzeba sobie zasłużyć” pozwalają łatwiej się z tym pogodzić. Bo naprawdę jest ciężko, gdy zdamy sobie sprawę, że nie ma Jej już wśród nas, że nie będzie komu wymyślać „czarnych jaj” za „wyczyn roku”, że nie uśmiechnie się do nas, że nie usłyszymy Jej śpiewu przy ognisku, czy w jaskini w czasie oczekiwania na wolno idących kursantów. Wszyscy podziwiali Ankę za kondycję. Pod jaskinię podchodziła wolno, ale w otworze następowała przemiana. Pod ziemią czasem trzeba się było dobrze napocić, by ją dogonić. Zawsze była pogodna, nawet gdy coś ją dotknęło, szybko wybacziała.

Widząc ogrom problemów eksploracyjnych w Jaskini Małej powiedziała, że życia nam chyba nie starczy, by to wszystko sprawdzić. W Twoim Aniu przypadku brzmi to dziś jak złowieszcza przepowiednia.

Mamy nadzieję, że gdy będziemy szli korytarzami jaskini gdzieś z daleka dobiegnie Twój głos „lina wolna”, a my będziemy mogli odkrzyknąć – dobra!

Marek Lorczyk

Antoni Maciej Mischke (1909 – 2003)

W dniu 17 listopada 2003 r. zmarł w Krakowie jeden z nestorów alpinizmu polskiego, inżynier budownictwa Maciej Mischke. Urodzony 11 marca 1909 roku w Czerniowcach, zamieszkał z rodzicami w Zakopanem w r. 1913. Jeszcze przed zakończeniem I wojny światowej rozpoczął w Tatrach działalność turystyczną i narciarską – głównie wraz ze starszym bratem Kazimierzem, którego pożegnał w „Głosie Seniora” 1/1994. Maturę zdał w zakopiańskiej „Liliane”, gdzie założył związek sportowy „Błękitni”. Studia odbył na Politechnice Lwowskiej.

Trwałe miejsce w alpinizmie polskim zyskał w okresie II wojny światowej. Internowany latem 1940 w Szwajcarii w obozie Winterthur, założył tam w marcu 1942 r., wspólnie z Jerzym Hajdukiewiczem, Klub Wysokogórski Winterthur i przez cały czas jego istnienia, do roku 1946, był jego prezesem. W latach 1944-45 opracował redakcyjnie 5 zeszytów „Taternika” KW Winterthur, firmowanego przez Jerzego Hajdukiewicza jako redaktora. W tym okresie dokonał 110 wejść na szczyty alpejskie, niekiedy nowymi i trudnymi drogami, takich m.in., jak I przejście północnej ściany Piz Beverin (3002 m) w Graubünden, I przejście północnej ściany Bifertenstock (3426 m) oraz II przejście północno-zachodniej ściany Piz Rusein (3623 m) w Alpach Glarneńskich, a przede wszystkim – IX przejście północnej ściany Dent d'Hérens (4180 m) w Alpach Walijskich. W Alpach i Tatrach wspiął się do roku 1984, przechodząc od r. 1946 blisko 1000 dróg, w tym szereg nowych. Był propagatorem taternictwa zimowego w Tatrach Zachodnich (m.in. pierwsze przejścia progów dolin Litworowej i Mułowej, drugie przejścia środka północnej ściany Długiego Giewontu i północnej ściany Wielkiej Turni), a także zastosowania krótkich nart (zwał je „miszkami”) do zjazdów wysokogórskich (m.in. zjazdów z Kościelca, Żółtej Turni, Miedzianego, Rysów).

Jan Krzysztof Liszewski (1948 – 2003)

Krzysztof urodził się 28.02.1948 roku w Rydzynkach pod Łodzią. Studia ukończył w Łodzi na wydziale Geodezji. Karierę wspinaczkową rozpoczął w 1980 roku od kursu wspinaczkowego w Łódzkim Klubie Wysokogórskim. Bardzo szybko piął się do góry zdobywając kolejne stopnie wspinaczkowe oraz spore doświadczenie.

Krzysztof zawsze był osobą skromną i skrytą, a jednocześnie wspaniałym kolegą i partnerem

Działal też organizacyjnie. Po powrocie do kraju w r. 1946 został sekretarzem Zarządu Głównego KW PTT (do r. 1949). Przez pewien czas był wiceprezesem Koła Krakowskiego KW. W okresie trudności wydawniczych zredagował nie wydany numer „Taternika”. W latach 1949--71 był instruktorem taternictwa, prowadząc szkolenie letnie i zimowe. W r. 1958 został ratownikiem Grupy Tatrzańskiej GOPR. W 1977 otrzymał srebrną, a w 1983 złotą odznakę GOPR. W r. 1981 żywo uczestniczył w staraniach o niedoszłą do skutku reaktywację Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Od 1984 działał w Towarzystwie Tatrzańskim m.in. jako prezes i wiceprezes. W r. 1989 został na dwie kadencje prezesem odrodzonego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Był wówczas redaktorem pismka „Wołanie”. Ogłosił ok. 100 publikacji górskich, jego wspomnienia z lat wojny ukazywały się w „Pamiętniku PTT” 1997--2002. Został odznaczony Krzyżem Kawalerskim i Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Maciej Mischke był łącznikiem między dawnymi i nowymi laty alpinizmu polskiego, jednym z tych nielicznych, którzy w okresie wojny podtrzymywali go i posuwali naprzód, przykładem wielkiego umiłowania gór i kilkudziesięcioletniej harmonijnej działalności sportowej, szkoleniowej, ratowniczej, organizacyjnej, publicystycznej. W ankiecie przeprowadzonej przeze mnie wśród członków honorowych KW-PZA na wskazanie kolejnych kandydatów do tej godności, Maciej Mischke znalazł się na pierwszym miejscu. Członkostwo honorowe PZA otrzymał w r. 1992. W r. 1995 PTT obdarzyło go godnością członka honorowego a w 1998 także honorowego prezesa. Zmarł w tym samym wieku, co jego brat Kazimierz (94 lata), spoczął na cmentarzu Salwatorskim w Krakowie.

Ryszard Wiktor Schramm

w górach. Swą kondycją często przewyższał młodszych kolegów, był twardy, ambitny i tego samego oczekiwał od swoich partnerów. Pracował jak większość z nas na robotach wysokościovych, zarabiając na kolejne wyjazdy. Wtedy bardzo aktywnie wspiął się w Tatrach, tak latem jak i zimą –na Kazalnicy Miegoszowieckiej, Miętusiej, ścianie czołowej Miegoszowieckiego Szczytu, wschodniej ścianie Mnicha. Uwielbiał też Tatry Zachodnie, często z braku czasu wspinaliśmy się weekendowo na ścianie Raptawickiej Turni. W 1983 r. Krzysiek postanowił pojechać



w Alpy w Masyw Mont Blanc do Chamonix i pokonał wtedy takie drogi jak Filar Trzech Punktów na Mont Blanc du Tacul, Ostrogę Brenvy na Mont Blanc, oraz kilka dróg na Igłach Chamonix. W dwa lata później pojechał na obóz centralny w Pamir, gdzie wszedł na Pik Korżeniewskiej oraz Pik Lenina. Od tego czasu pokochał góry wysokie i odwiedzał je coraz częściej. W 1986 roku był uczestnikiem wyjazdu klubowego ŁKW na Makalu. W 1988 roku pojechał w góry Afryki, gdzie przeszedł północną ścianę Mt Kenia. W 1989 roku odwiedziliśmy jeszcze raz Masyw Mont Blanc, tym razem od strony Courmayeur. Krzysztof pokonał wówczas takie drogi, jak Bonattiego na Grand Capucin i Rebuffata na Aig. de la Brenva oraz północną ścianę Tour Ronde.

Czasy były ciężkie – Krzysiek postanowił założyć własną firmę wysokościową, Czasu na wspinanie było mało, nadal trenowało się tylko

w weekendy w skałkach oraz w Tatrach. Krzysiek miał niesamowity talent oraz kondycję i to mu wystarczyło żeby w 1997 roku samotnie zdobyć Mount McKinley. Zimą 2000/2001 był bardzo aktywnym uczestnikiem wyprawy Krzysztofa Wielickiego na Makalu. Jednak marzeniem Krzyska było zdobycie Everestu bez tlenu. Był tam już w 2001 roku z Jackiem Berbeką, ale niepogoda zawróciła ich z wysokości ponad 8000 m. W dwa lata później, w 2003 roku, Krzysztof nie wrócił do bazy z samotnej próby. Ostatni raz widziano go w obozie na 8200 m, skąd wszedł w kierunku wierzchołka. Nikt nie wie, czy do wypadku doszło w drodze na szczyt, czy w czasie zejścia. Ciało Krzysztofa znaleziono na Lodowcu Rongbuk. Został w cieniu „Królowej Gór” na zawsze, a w kraju – w naszej pamięci...

Bohdan Kowalczyk „Kurnia”

Listy do redakcji

Szanowna Redakcjo,

W numerze 1-2/2003 (297-298) ukazał się ciekawy artykuł pt. „Diabły tkwią w szczegółach”, w którym autorzy omawiają opis Władysława Cywińskiego dotyczący „Trzynastu Progów” w Wąwozie Kraków. Tak się składa, że znam parę szczegółów, dotyczących zdobycia tych progów. Otóż o istnieniu ich dowiedział się mój mąż śp. Konstanty junior od znajomej tatarniczki Jadwigi Pierzchalanki. Jadwiga była entuzjastką wąwozu. Już pod koniec II wojny, w jesieni 1944 r., wędrowała wąwozem ze znajomymi (Potockimi), mieszkającymi w jej willi „Orlica”, ale dotarli wówczas tylko do „Beczki”. Natomiast 6 sierpnia 1946 r., gdy mój mąż wrócił do kraju i Zakopanego, namówiła go do zwiedzenia wąwozu. Wtedy też po raz pierwszy przeszli „Beczkę” i w całości – wszystkie proggi (*). Ja natomiast w 1948 r. uczestniczyłam podobno w drugim przejściu.

Potem przeszłam proggi jeszcze parę razy, idąc np. do jaskini Wysokiej, czy w 1955 r. towarzysząc wicemarszałkowi Sejmu i przewodniczącemu Centralnego Komitetu Stronnictwa Demokratycznego Stanisławowi Kulczyńskiemu (późniejszemu wiceprzewodniczącemu Rady Państwa, potomkowi znanego tatarnika z przelomu stuleci). Zdarzył się zresztą wówczas zabawny incydent. Kulczyński, starszy już pan, dobrze sobie radził, natomiast jego „obstawa” – duży, silny

mężczyzna – wspinął się dość niezgrabnie, przy czym przy przechodzeniu „Beczki” wypadł mu z kieszeni spodni rewolwer i potoczył się daleko. Mój mąż go znalazł i oddał mu. Pamiętam, że bardzo to nas ubawiło.

Zimą przeszli proggi po raz pierwszy, w lutym 1960 r., Zakopianczycy Marian Mitan i Bronisław Noiszewski. Marian zrobił wówczas świetne zdjęcia.

Tyle o historii zdobycia progów. Jest ich w rzeczywistości 14, ale ostatni, zwieńczony w górze wielkim głazem, zwykle omijaliśmy, skręcając do Zadniego Ramiennego.

Łączę serdeczne pozdrowienia, wraz z życzeniami dalszej owocnej działalności,

Zofia Stecka

(* W. Cywiński w 3 tomie swojego przewodnika p.t. „Czerwone Wierchy – część zachodnia” nie wymienia autorów I przejścia Żlebu 13 Progów. Natomiast w Wielkiej Encyklopedii Tatrzańskiej można wyczytać (s. 1289), że I przejścia dokonał zespół w składzie: N. i A. Czartoryscy, Jerzy Mitkiewicz, Jadwiga Pierzchalanka oraz A. i A. Potoccy w październiku 1944 r. Czy tę ostatnią informację należałoby zrewidować? (red.).

„Cenzuro wróc”...!?

Bez względu, czy dany rejon górski jest zamknięty, czy ogólnie dostępny, opisy jego topografii – zależnie od zgodności z rzeczywistością – mogą być dobre lub złe; mogą też być wykorzystywane w dobrych lub złych celach – w zależności od poziomu moralnego ich użytkowników. O ile na tę sferę etyczną nie sposób rozciągać odpowiedzialności autorów opisów – o tyle jest ona wprost ogromna w zakresie wiarygodności podawanych przez nich informacji topograficznych.

Ten zasadniczy problem w przewodnikopisarstwie wspinaczkowym był przedmiotem naszego artykułu pt. „Diabły tkwią w szczegółach” („Taternik”, nr 1-2/2003), co zasygnalizowano już we wstępie redakcyjnym. Zagadnienie to przedstawiliśmy na przykładzie błędnych opisów z 3. tomu „szczegółowego przewodnika” W. Cywińskiego: drogi przez Trzynaście Progów i dróg na Zdziarach.

Niestety, problem ten najwyraźniej został zignorowany przez A. Milewskiego, który w liście na łamach „Taternika” (nr 3-4/2003, s. 71-72) raczył jedynie zwrócić uwagę na rzekomo negatywne „implikacje towarzyszące tego rodzaju tekstom”, jak nasz.

Podaliśmy tylko rzeczowy i rzetelny komentarz do błędnego opisu autorstwa W. Cywińskiego – nikt więc nie „popisał się” (jak chce Milewski) „szczególną precyzją opisu” drogi przez Trzynaście Progów.

Nasz tekst problemowy A. Milewski skwitował zarzutem, że „każdy tego rodzaju artykuł przyciąga w tak szczególne miejsca dewiantów”. Zarzut ten w istocie można rozciągnąć na wszelkie publikacje przedstawiające topografię terenów cennych przyrodniczo: zarówno opisy, jak i schematy wspinaczkowe, mapy czy choćby widokówki – skoro bowiem upowszechniają one informacje topograficzne, to tym samym stwarzają ryzyko zaistnienia aktów wandalizmu w rezerwatach i parkach narodowych. Podążając za tą pseudologiką należałoby więc cofnąć się do epoki PRL-u i cenzurować wydawnictwa wspinaczkowe – czy nawet do mrocznych czasów inkwizycji: by palić na stosach publikacje umieszczone „na indeksie”! Rzecz jasna na pierwszy ogień poszedłby „Taternik”, z którego przecież – wedle wyssanej z palca tezy A. Milewskiego – 15% „osób gramolących się do góry [...] dowie się, że istnieje coś takiego jak Żleb Trzynastu Progów”.

Tymczasem już w 1961 r. W.H. Paryski uzasadnił, że jego „przewodnik opisuje [...] z jednakołą dokładnością tereny w danym momencie

ogólnie dostępne dla zwiedzających, jak i tereny wyłączone ze swobodnego ruchu, gdyż po pierwsze, przepisy ograniczające swobodne poruszanie się ulegają zmianom [...]; po drugie, istniejące przepisy przewidują pewne wyjątki za specjalnym pozwoleniem; po trzecie, powstają czasem warunki (ratowanie życia, akcje ratunkowe), w których obowiązujące przepisy [...] pozwalają na odstępstwa od reguły” (WHP, cz. 9, s. 8).

Uzasadnienie to w ogólności odnosi się do wszelkiego rodzaju publikacji topograficznych – o ile ich celem nie jest propagowanie wspinaczki na obszarach zamkniętych dla ruchu taternickiego, a więc zachęcanie do łamania aktualnie obowiązujących przepisów ochrony przyrody.

Również W. Cywiński, wychodząc z tego założenia, głosi, że: „Prawa, zakazy i nakazy zmieniają się z natury rzeczy o wiele częściej niż budowa i topografia Tatr. Fakt, iż opis danego masywu czy drogi zawarty jest w [...] przewodniku nie oznacza, że można tam swobodnie i bezkarnie działać” (W.C., t. I, s. 13-14). Ta ostatnia uwaga w sposób oczywisty dotyczy również i innych publikacji topograficznych – w tym także naszego tekstu, który wszak nie należy do typu „zachęcających”, lecz jest artykułem problemowym. Tak więc zarzut A. Milewskiego przedstawia się wprost absurdalnie. Podany przez nas przykładowo opis Trzynastu Progów wyrwał on z kontekstu naszego artykułu, na siłę doszukując się w nim negatywnego wydźwięku.

Miejmy jednak nadzieję, że w dyskusji nad problemem odpowiedzialności autorskiej w przewodnikopisarstwie wspinaczkowym nie będą się już więcej pojawiać demagogiczne frazesy, a ich miejsce zajmą merytoryczne argumenty.

Tomasz Borucki i Rafał Mikler